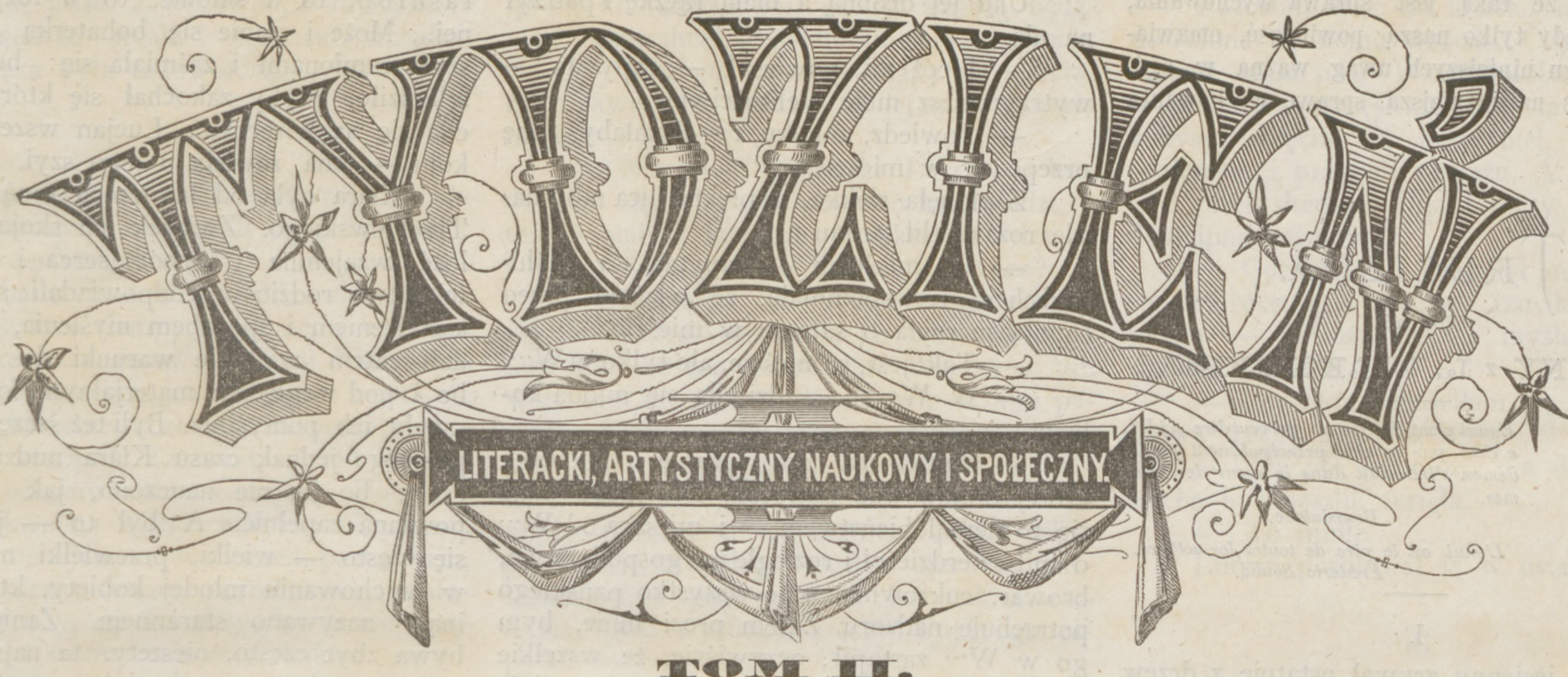
Nr. 31. Lwów, Niedziela dnia 1. Sierpnia 1875 r. **Rok II.**



TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg

LUŹNE UWAGI.

XXXI.

O SZKOLE.

I. Zewsząd słyszymy utyskiwania, że szkoły nasze są złe, że w nich źle uczą młodzież, że przyszłych obywateli kraju wychowują nieodpowiednio i t. d. i t. d. a narzekania zazwyczaj kończy sakramentalne: „Dawniej było lepiej!“

Chciejmy rozważyć: ile w tem wszystkiem jest prawdy?

Szkoły nasze są dziś takie same, jak w całej monarchji Austrjacko-Węgierskiej, i jeśli one złe są w Galicji — tedy i w Czechach, na Węgrzech, w Austrji niemasz szkół lepszych. Niebrak również dowodów, że teraźniejsze naukowo-wychowawcze zakłady austrjackie lepsze są od dawniejszych, a więc, tem samem, i nasze szkoły dzisiejsze pierwszeństwo mają przed dawniejszemi. Słuszne zatem są i niesłuszne narzekania na szkoły; słuszne, bo pozostawiają one wiele do życzenia nietylko u nas, ale i w całej Austrji; niesłuszne bo dzisiaj lepiej są urządzone i bardziej odpowiadają celowi, aniżeli za lat dawnych, i to tak u nas, jak w całej monarchji.

Taka tylko szkoła dobrą może być nazwana, w której młodzież uczy się i kształci, w której ją rozwijają fizycznie i moralnie, zdrowie ciała i duszy młodzieży mając głównie na pieczy. Taka szkoła będzie prawdziwie dobrą.

Do tej doskonałości zbliżyć się można tylko przy współudziale domu w zbawiennych zabiegach szkoły. Gdy dom odpowiednio przygotuje młódź dla szkoły, ona odda ją należycie przysposobioną światu. Gdy dom ze szkołą w rozterce, traci świat, wszyscy tracą na tem. Jeżeli dom naprawia szkołę, dobrze; gdy szkoła dom poprawia gorzej; — ale gdzie świat musi dom i szkołę poprawić — tam najgorzej.

U nas jest już to drugie: dom na szkołę zrzucił brzemię wychowania młodzieży, ona ma dom naprawić, i ztąd złe, tem większe, że szkoła nie posiada obecnie dość środków do wywiązania się z własnych, a cóż dopiero z narzuconych jej obowiązków... Dom bezczynny — szkoła chromieje, a życie skarży się na brak obywateli należycie wychowanych i wykształconych. Oto bieda nasza.

Od szóstego roku życia posyłasz, ojcze, dziecko twe do szkoły — lat dwanaście ona mieć je będzie w swojej opiece, zanim wychowańca odda wyższemu zakładowi naukowemu, a ten powierzy go życiu. Lat dwanaście, to $^1/_4$ przeciętnej cyfry lat życia człowieka. Przez te lat kilkanaście, troskliwy o przyszłość twego dziecięcia, dobry ojcze, czemże się troskasz? o co starasz się i ubiegasz? Oto, by syn twój przeszedł z klasy do klasy, świadectwo otrzymując za świadectwem, zdał maturę i w końcu uniwersytecki patent otrzymał — chociażby nawet nic nieumiejąc. Bo, ty, dobry ojcze, synowi twojemu nie mówisz: „Ucz się, byś umiał! zachowuj się tak, byś dobrym został!“ ale powtarzasz mu ciągle: „Przynieś świadectwa i uzyskaj patent, bo ten ci drogę do karjery otworzy.“ Oto, co syn twój ustawicznie słyszy od ciebie. Sam lekceważąc naukę i wychowanie, w szkole widzisz przymus, któremu bez szkody niepoddać się aniś ty nie mógł, ani dziecko twoje potrafi; ty, ojcze lekceważenie to szkoły i jej kierunków zaszczepiasz w twe dzieci, w ich obecności nauczycieli i kierowników szkoły obdarzając najlichszemi epitetami, odmawiając im zdolności, charakteru, zgoła wszelkich przymiotów, bo sam widzisz i uczysz dziecko twe widzieć w szkole nie dobro, ale zło konieczne, czasowe, po którego przebyciu czeka miły wypoczynek na laurach świadectw, prośbą i łzami, wstawianiem się i innemi podobnie godziwemi środkami przez syna twojego zdobytych. Ty, dobry ojcze, dziecka swego nie uczysz sam i nie wychowujesz, a że ci tego jeszcze za mało, więc przeszkadzasz szkole, by je uczyła i wychowywała za ciebie, a jeśli tak postępujesz ty, który nazywasz się dobrym ojcem, jakże poczynają sobie mniej od ciebie dobrzy, gorsi i najgorsi?

Odpowiedź. Oto, co my nazywamy brakiem domu; oto w czem widzimy utrudnienie stanowiska szkoły w rzeczach nauczania i wychowania młodzieży. Domu u nas nie ma; gorzej niż nie ma, bo on jest na to, ażeby szkoły nie było; czyli co na jedno wyjdzie, dom u nas stara się o to, ażeby szkoła była złą i celowi swojemu nie odpowiadała.

I czy tacy ojcowie mają prawo narzekać, że szkoły nasze są złe? Nie, zaiste! Prawo do tego mają ci tylko, którzy pojmują w czem złe leży, którzy usiłują je usunąć. Tacy tylko do narzekań mają prawo, a do ich liczby i nam niech wolno będzie siebie zaliczyć.

Społeczeństwo troszczyć się powinno o wychowanie młodzieży; a gdy ono zapomina o swych obowiązkach — miejsce jego państwo zajmuje. W wieku, którego chorobą jest hasło: „Do pieniędzy bez pracy!“ w wieku, który zdaje się zapominać o tem, że gdzie nie ma podstaw moralnych, tam żadna społeczna budowa ostać się nie może, tem większy jest obowiązek państwa troszczyć się o społeczeństwo, a więc i o własną przyszłość. Kwestja, jakimi będą przyszli obywatele, nie może być dla państwa obojętną; a że bez oświaty i umoralnienia dobrymi oni stać się nie mogą — o tem i mowy być nie powinno. Państwu zatem myśleć o nas, gdy sami o sobie myśleć nie chcemy. A państwo myśli o tem zbyt mało; ono zdaje się podzielać obojętność ogółu dla sprawy przyszłości, i gdy my na tem ucierpimy, ono także ucierpieć będzie zmuszone.

Zestawmy cyfry pojedyńczych rubryk państwowego budżetu a okaże się, że wydatki na cele oświaty w Austro-Węgrzech poślednie zajmują w nim miejsce. Dowodzi to, że państwo nie pojmuje należycie swoich interesów, że własną korzyść przeocza.

Porównajmy dotacje szkół galicyjskich z dotacją naukowych zakładów np. Wyższej Austrji, a upośledzenie kraju naszego pod tym względem, stanie się rażące. Dowód, że i o nas tak mało myślą, jak my o sobie. Złe więc istnieje, a usunąć je koniecznie potrzeba... W jakiż sposób dojść do tego zdołamy? Nie narzekając, ale działając. — Każdy w swoim zakresie róbmy co do nas należy, a całość złoży się sama.

Obowiązkiem pisma wyjaśnić każdą sprawę, ogół obchodzącą, przedstawić ją w świetle wła-

ściwem. A że taką jest sprawa wychowania, spełniamy tedy tylko naszą powinność, omawiając w szeregu niniejszych uwag ważną w ogóle, a dla nas najważniejszą sprawę wychowania publicznego.

TRUCIZNA.

Powieść

PAULINY z L. WILKOŃSKIEJ.

Ennui vient d' „inane" qui veut dire „vide", e c'est par ce vide principalement que le démon s'introduit dans le coeur des femmes.

Bourdaloue.

L'enui est le pire de toutes les sottises.

Fréderic Soulié.

I.

Wiatr jesienny zrywał ostatnie z drzew listki, zawodząc po alejach ogrodu; na trawnikach pożółkło kwiecie ostatnie; ostatnie georginje zwarzone pozwieszały główki. Po oknach obszernego dworu deszcz ulewny uderzał — gdy przy jednem z nich stanęła młoda, powabnej postaci kobieta, wysilając wzrok zamyślony, tęskny, czy też znudzony, w przestrzeń dżdżystą i wietrzną. Usiadła obok na taborecie, czytała dalej jakiś romans francuski, i ziewając rzuciła go po chwili. Przeszła się po salonie, potem stanąwszy przed zwierciadłem ciemne przygładziła włosy; przyjrzała się wdzięcznym licom i uśmiechnęła się sama do siebie, białe i drobne pokazując ząbki; poprawiła stanika przylegającego do składnej kibici; zamiotła długim powłokiem szafirowej sukni wełnianej po barwistym dywanie, i znowu usiadła przy oknie, podejmując książkę. Westchnęła zlekka. Poszarzało na dworze; przestała czytać, wsparła czoło na dłoni i zamarzyła: jakże to tam inaczej spędzić można dni słotne i długie wieczory; w Paryżu, a choćby i w Warszawie!... Widziała oczami duszy piękny salon oświetlony, w nich Rastignac'ow, Masson'ow*) a wreszcie i dandysów naszych: salonowych elegantów, literatów, artystów, składających jej hołdy! Wyobraźnią rozbudzoną chwytała ich rozmowy zajmujące, dowcipy, muzykę, śpiewy, gwary wesołe... A tutaj w koło niej próżnia, szara godzina samotna — na dworze wicher i słota...

Szybko drzwi otworzono i wszedł mężczyzna młody, wysoki, kształtnej budowy, z ciemnym podkręconym wąsem.

— Cóż tak siedzisz zadumana i smutna, Klarciu? — zapytał, do niej przystępując.

— Paweł nie zapalił jeszcze lampy — odrzekła — czytałam... Jeździłeś konno, Lucjanie, i w taką słotę?

— Tylko do Bagniówki i byłem tam potrzebny. Miałem do owczarza interes.

Służący wniósł lampę. Klara usiadła, przy stole, przysuwając koszyczek z robotą krzyżową. Lucjan chodził po pokoju.

— Posłuchaj, Klarciu! — zagadał stając przed nią, a lica jego dobrodusznym zajaśniały uśmiechem.

Podniosła ku niemu dwoje piwnych, pięknych oczów, a wymownych szczególniej, które pytały wyraźnie: co on powie?

Ujął jej drobną a białą rączkę i patrzył na nią.

— I cóż mi powiesz? — zapytała — wytrzymujesz mnie nielitościwie.

— Powiedz, aniołku, czy chciałabyś zimę przepędzić w mieście?

Zapłonęła zlekka, a piękne lica niby nagle rozświetlił promień.

— W mieście? — zapytała, z półuśmiechem i wspomniała, że właśnie przed chwilą marzyła o salonie w mieście...

— Tak jest, w mieście, ale tylko w W···.

— W W···? — zdziwiła się młoda kobieta.

— Antoś ma tam sprawę o 200.000, której dopilnować potrzeba. Dla niego staje się to niepodobieństwem — i mieszka od W··· o mil czterdzieści i rozległe ma gospodarstwo, browar, cukrownię, a to wszystko pańskiego potrzebuje nadzoru. Zatem prosi mnie, bym go w W··· zastąpił; oczywiście, że wszelkie nagrodzi koszta. Jeździć tam każdego tygodnia i po dni parę lub kilka bawić, byłoby arcynudną i mozolną rzeczą...

— I cóżbym ja tutaj sama poczęła? — złożyła dłonie.

— Otóż właśnie! Zatem wolę w W··· nająć mieszkanie na trzy, cztery miesiące i pilnować sprawy Antosia. Ale, czyliż to i tobie dogadza? — zapytał, pochylając się ku niej z uśmiechem.

— Wszakżeż będę z tobą! — objęła go za szyję. Lucjan pocałował ją w czoło.

— Wreszcie W··· jest miastem dość dużem i niejedną przyjemność nastręcza. Mieszka tam każdej zimy kilka rodzin obywatelskich, są urzędnicy wyżsi z którymi żyć można; jest teatr podobno dobry wcale; bywają koncerta i bale.

— O bale nie chodzi mi bynajmniej — pokręciła głową.

— Ej, potańczysz choćby na jednym! — pogłaskał ją po licu.

Uśmiechnęła się.

— Więc zgadzasz się na tę kwarantannę?

— Skoro będziemy razem. Tutaj sama jedna umarłabym z tęsknoty i nudów.

— Nie miałbym sumienia ciebie tak zostawić!

— A kiedyż wyjedziemy?

— Po nowym roku. Napiszę dziś jeszcze, by nam poszukali i najęli mieszkanie: pięć, sześć pokojów, z kuchnią, spiżarnią. Możemy przecie wiele rzeczy mieć z domu.

— Dalekoż ztąd do W...?

— Sześć mil żwirówką. Miasto wcale ładne; nie Warszawa ani Kraków, ale można urządzić się w niem przyjemnie. Idę list napisać; — pocałował ją w czoło.

Klara odłożyła robotę. Chciała czytać, lecz myśli zebrać nie mogła. Powstała, przebiegła pokój, a różne, przeróżne majaczyły przed nią obrazy, wymarzone na romansach George Sand, Balzac'a, Delfiny Girardin, Sue, hr. de Viel Castel, pani Bodin, i t. p. aż do Feydeau i Flaubert'a. Jawiły się skreślone w nich damy wielkoświatowe, heroiny namiętne lub lekkomyślne i kobiety *incompr*i*ses*; młodzież powabna, elegancka, inteligentna, z wrzącem sercem i umysłem, albo tylko ponętni dandysowie salonowi... Widziała siebie przyjmującą tę zgraję *of fashion*, to w salonie, to w loży teatralnej... Może i stanie się bohaterką jaką! ruszyła ramionami i zaśmiała się: bo i cóżby szkodziło, gdyby zakochał się który? obróciła się na koreczku... Lucjan wszedł do pokoju — ona zawisła u jego szyi.

Klara była od lat trzech żoną Lucjana Trzębiewskiego. Związek ich skojarzyła miłość wzajemna i wybór serca i błogosławieństwo rodziców; odpowiadali sobie wykształceniem i sposobem myślenia, — posiadali zatem wszelkie warunki do szczęścia; bo i pod względem materjalnym losy wyposażyły ich pomyślnie. Byli też szczęśliwi. Od pewnego jednak czasu Klara nudzić się poczęła, bo jej nie nauczono, jak czas swój powinna zapełnić. A był to — jak dzieje się często — wielki, przewielki niedostatek w wychowaniu młodej kobiety, które skądinąd nazywano starannem. Zaniedbywaną bywa zbyt często, niestety, ta najważniejsza strona wychowania niewieściego, a ztąd złego rodzi się wiele — przewiele!

Klara straciła w drugim roku małżeństwa córeczkę, która niewiele tylko dni pożyła; więc jej i macierzyńskich obowiązków zbywało. Do zarządu domu miała gospodynię wzorową i nie potrzebowała troszczyć się o nic; było to życzeniem jej mamy troskliwej, a małżonek pragnął, by nie nużyła i nie nudziła się niczem. Lubiła ogród i kwiaty, ale tem nie zajmowała się sama, zostawiając wszystko ogrodnikowi; niekiedy nawet samotna nudziła ją przechadzka. Umiała różne ładne robótki, ale, tak tylko, by czasem coś wziąć do ręki. Grała dość biegle na fortepjanie lecz grywała rzadko sama dla siebie: rzadko przez zamiłowanie muzyki. A słuchacze nie jawili się często. Sąsiedztwo było nieliczne, w dodatku nie całkiem odpowiednie, ztąd i gość rzadkim. Zatem czytanie i czytanie jedyną stanowiło rozrywkę, zwłaszcza romanse francuskie, które pochłaniała. W nich oswoiła się z życiem salonów paryskich i pokochała je namiętnie. Umiała uobecniać sobie wszystkich bohatyrów i bohatyrki i niby była z nimi. Wmarzyła siebie w to zaklęte koło, mimowiednie niemal i fantazją rozbujałą przedzierżgiwała sama siebie w jakąś heroinę romansu.

Lucjan, zajęty gospodarstwem gorliwie, poszedł trybem ojców; jeździł na folwarki, sam dozorował wszystkiego, konferował z ekonomem, pisarzem, karbowym, i polował dużo. Poczem zawsze, niby więcej zakochany jeszcze, do swojej podążał Klarci, i ani mu w myśli postało, by ona nudzić się miała, a ztąd w wyrojone rzucała się sfery i dramata.

Jeździli dość często do jej rodziców, mieszkających o mil dziewięć. Woził ją w sąsiedztwo, o ile się dało. Zapraszał i do siebie sąsiadów, lecz wtedy panowie zwykle zasiadali do preferansa, a młoda pani domu pragnąca czegoś innego o mało że nie poziewała w kółku, które jako gospodyni zabawiać musiała. To i lepiej było przestawać z *Indjanami*, *Delfinami*, *Lilją*, *Walentyną*, z *Vandeness'em* *Feliksem*, *Alfredem* i tylu, tylu innymi!

Lucjan jeździł dwa razy do W···. Udało mu się dość ładne o sześciu pokojach nająć mieszkanie, z kuchnią, spiżarnią i potrzebami

---

*) Bohaterowie romansów Balzac'a.

wszelkiemi, nadto z wozownią i stajnią które sam wygodnie wcale i elegancko urządził, by żoneczka była zadowoloną.

II.

Na drugi dzień po Trzech królach, państwo Trzebiewscy pożegnali swój Sosnowiec a wieczorem stanęli w W···.

Służba wyjechała naprzód, więc zastali pokoje ogrzane, lampy zapalone, i wszystko na ich przyjęcie gotowem. Pani Klara była wcale zadowoloną. Jeszcze tegoż wieczora, zaraz po herbacie, rozłożyła za pomocą swojej panny służącej, Ludwiki, przed kanapą na stole, albumy różne i książki. Postawiła czarę piękną na bilety wizytowe i piękny, duży flakon z jakiemś wybornem pachnidłem. Nadto i śliczny wazon porcelanowy, malowany, złocony, do kwiatów, by w nim następnie jaki wonny zamieścić bukiet.

Nazajutrz dzień cały zajęło uporządkowanie garderoby. Klara jednak sama, do niczego nie przyłożyła ręki, potrzeba jej tę oddać sprawiedliwość; siedziała raczej wpółleżąc na kanapie i czytała. Ludwika roztrzepywała atłasy, aksamity, koronki, a pani kiedy niekiedy swoją czyniła uwagę, lub rozkaz jaki wydała.

Pan Lucjan zaś, nieleniwy nigdy, już pobiegł za interesami, by nie marnować czasu. O szarej godzinie powrócił dopiero. W salonie paliła się już lampa. Klara po nim chodziła.

— Klarciu! — zawołał małżonek, wbiegając — kupiłem lożę: przedstawiają P o s a ż n ą J e d y n a c z k ę i S k r z y p k i c z a r o d z i e j s k i e. Zbieraj się aniołku!

— Nie wiedziałam, że dziś będziemy w teatrze; — przystanęła a uśmiech zadowolenia po młodem przemknął licu.

— Dopiero po piątej — spojrzał na zegarek — o siódmej zaczyna się przedstawienie; masz zatem dość czasu na toaletę. Wreszcie tutaj strojów nie potrzeba.

— Zawsze... muszę się ubrać — wymówiła przeciągle.

— To idź-że, idź, aniołku! Każę nastawić samowar, bo przed spektaklem chcę napić się herbaty.

Klara włożyła pąsowy kaftanik węgierski, suto szamerowany złotem, srebrem i kolorami wszystkiemi, a na głowę czarny kapelusik z piórem, w czem jej wcale było do twarzy.

Pojechali o trzy kwadranse na siódmą. Teatr już w połowie był zapełniony. Klara rozglądała się po nim i znalazła go wcale dobrze urządzonym. Lucjan podał jej co dopiero kupioną lornetkę, za co podziękowała mu uśmiechem wdzięcznym i uściskiem ręki. Zgrabnie jej z nią było, w rączce ściśniętej w białą rękawiczkę o trzech guzikach.

Po chwili otworzono z trzaskiem lożę naprzeciw. Weszła piękna pani a za nią trzech elegantów. Klara ku niej skierowała lornetkę. Piękna pani miała okrywkę gronostajową a w czarnych włosach brylantową gwiazdę; wyglądała jak królowa. U ręku jej, przy grubej braseletce, wisiał wachlarz pąsowy, stalkami błyszczący. Powiodła piękną lornetką z kości słoniowej po sali, a potem obróciła głowę ku kawalerom, na jej służbie będącym, i uśmiechnęła się, bielutkie pokazując zęby.

— Któż to jest? — zapytała Klara, niby skwaszona troszkę, bo jej zaimponowała ta piękna pani.

— Nie wiem — odrzekł Lucjan, — lecz dowiem się. Ten blondyn to książe Idzi, a ten w białym krawacie, Kalikst Zerowicz.

— Któż jest ten Kalikst Zerowicz?

— Za wiele się pytasz! — uśmiechnął się Trzebiewski — znają go niby wszyscy, lecz nikt nie zna go dobrze. Wiedzą o nim wszyscy, ale nikt nic nie wie o nim pewnego. Bywa w najpierwszych towarzystwach, gra umiejętnie w karty... i szczęśliwie bardzo. Fortuny jego nikt nie zna, ale mu nigdy na niczem nie zbywa. Jeździ wiele po świecie, a stałego nigdzie nie ma mieszkania, lecz niby wszędzie jest wdomowionym... Otóż wychodzi z loży! Pójdę go zapytać — i wybiegł.

Klara sobie pochlebiała, że ten jegomość interesujący przyjdzie do ich loży. Lucjan jednakże sąm powrócił, a pan Kalikst w tej samej chwili ukazał się znowu naprzeciwko.

— Jest-to pani Wszemborska z Nastajowa — powiadomił Łucjan żonę.

— To piękna pani Floryna! — zawołała wpółcicho.

— Tak jest.

— Ach, słyszałam, że zawsze dwór cały ze sobą wiedzie!

Odezwała się uwertura z B i a ł e j D a m y. Poczem artyści wybornie odegrali P o s a ż n ą J e d y n a c z k ę. Klarę jednakże zajmowała więcej loża naprzeciw, aniżeli sztuka. Rozmawiano tam ciągle i śmiano się. Pani Floryna pąsowym ze stalkami olśniewała wachlarzem i to zasłaniała się nim z jednej lub z drugiej strony, a panowie pochylali się, ku niej i na jej baczyli skinienie; to machała nim żwawo, stosownie do rozmowy ożywionej. Jakżeż jej więc tego wszystkiego zazdrościć nie miała? Książe Idzi istnie na Rastignac'a wyglądał. Gdyby też chociaż ten pan Kalikst zajrzeć chciał do nich! Lecz on ani odstąpił służby przy pani Wszemborskiej.

Dalej siedziały: pani sędzina z piękną a młodziutką siostrą; pani radczyni, nader ładna i młoda z małżonkiem; pani mecenasowa, pokaźna wcale; kilka pań ze wsi, a dwie z nich były ładniutkie bardzo. Ale żadna z nich dworu nie miała. Czasem wszedł do nich znajomy jaki, pobawił chwilę i wyszedł znowu; zatem było to jedynie, jak gdyby na paraliji. To też Klarę aż unużyły i znudziły S k r z y p k i z a c z a r o w a n e.

Pani Floryna z dworem swoim wyszła przed skończeniem sztuki, i nawet drzwi zostawili za sobą otwarte, które pan jakiś z loży sąsiedniej zamknąć poszedł, by przykremu przeciągowi zapobiedz.

— Czy także wyjdziemy? — zapytała Klara męża, bo tak niby wypadało, skoro pani Floryna Wszemborska wyszła.

— Uchowaj! — odszepnął pan Lucjan — takie wychodzenie jest niegrzecznem dla współwidzów, którym przeszkadza, a zarazem ubliża artystom. I po cóż wychodzić? Kwadrans dłużej posiedzieć, nie jest przykrością; nie ma spieszyć się po co.

Pozostali więc do końca. Klara niezadowolona do domu wróciła. Ciągle jej przed oczami stała pani Wszemborska ze swoimi satelitami — szczęśliwa kobieta! Jak tam wszyscy kręcili się przy niej, szukali jej spojrzenia i pragnęli rozkazu. A teraz zapewne razem herbatę piją i toczy się wesoła, dowcipna rozmowa.

— Cóż tobie? — zapytał małżonek biorąc jej rękę, gdy niedbale rzuciła się na kanapkę. — Skwaśniałaś, a myślałem że się dobrze zabawisz.

— Owszem, zabawiłam się... Ale mnie głowa trochę zabolała.

— Zawiało cię może. Na drugi raz potrzeba byś baszlik wzięła.

— To minie.

Lucjan pocałował ją w usta.

III.

— Jest tam pan jakiś i oddał ten bilet — wymówił Paweł, wchodząc do salonu, i wręczył panu kartę wizytową.

Klara odłożyła romans, podniosła się z kanapy i przeczytała na bilecie przez ramię męża: H i l a r y K r u p n i c k i.

— Proś tego pana! — rozkazał Łucjan służącemu.

— Któż to jest? — zapytała Klara.

— Szwagier obywatela z okolicy, Józefa Żołędzkiego z Płomykowa.

Klara zamarzyła, że to może będzie jaki bohater a la Balzac, chociaż nazwisko nie było obiecującem. Ah, czemże jest nazwisko?! powiedziała sobie zaraz, romans Flaubert'a, który czytała właśnie, pod wałek kanapy wsuwając.

Wszedł pan Hilary Krupnicki; młody człowiek dość wysoki, chudy, niezgrabny, twarzy bladej, o wypukłych kościach policzkowych; z małemi szaremi oczami i słabym zarostem; był wyfraczony, w rękawiczkach jasnych, wyraźnie z pretensją do elegancji. Ale krawat czarny siedział mu krzywo; kołnierzyk podniósł się z jednej strony, a z drugiej opadł; kamizelka wzorzysta także zadzierała się jakoś. Pokłonił się niezręcznie, chociaż niby widocznie uczył się u tancmistrza.

— Pan Hilary Krupnicki, żona moja — przedstawił pan domu.

Gość ukłon powtórzył.

— Siadaj pan, proszę — Lucjan wskazał mu fotel.

Pan Hilary usiadł, trzymając kapelusz oburącz i pokraśniał zlekka; był pomięszany.

— Pan z tej okolicy? — zapytała Klara uprzejmie, chociaż przytem pomyślała sobie: to jakiś niezgrabiasz szlachciura.

— Nie, pani dobrodziejko — odrzekł kręcąc kapeluszem — jestem z Raszek.

— Pan Krupnicki tylko gościem jest w tych stronach — dopomógł mu Lucjan.

— Bawię od dni kilku u siostry mojej, pani Żołędzkiej w Płomykowie.

— Czy pan Żołędzki już wyjechał? — zapytał Lucjan.

— Tak, wczoraj. Spieszył do domu, mając młocków. A mnie zostawił. Miał z nami pojechać tancmistrz, bo dzieci siostry biorą lekcje, i zawiódł. Więc muszę go pilnować, aby zabrać jutro przynajmniej, gdy

*

konie przyjadą. Człowiek to niesłowny i trzeba go pilnować.

— Ale panu zapewne czas tutaj schodzi przyjemnie — zagadała Klara, lekki pokrywając uśmiech.

— Nie mam wiele znajomych. W Płomykowie mieliśmy zapolować.

— Wszak to jeszcze nastąpić może.

— Będę musiał tańczyć także na lekcjach kontredansa w komplecie.

Klara ust przygryzła.

— Zapewne pan dziś będziesz w teatrze?

— O tak, bo i cóżby robić przyszło wieczorem.

— Cóż dziś przedstawiają?

— Nie wiem, pani dobrodziejko, ale co bądź, mnie wszystko jedno.

— Grają Damy i huzary — odezwał się Lucjan.

— To musi być zabawne — zaśmiał się pan Krupnicki.

— Pan nie znasz tej sztuki? — Klara znowu ust przygryzła.

— Nie, pani dobrodziejko.

— Bardzo zabawne.

— Czytałeś już panie Listy Odyńca? — zapytał Lucjan.

— Listy czyje, pan dobrodzieju?

— Odyńca, w Kronice rodzinnej?

Pan Hilary poczerwieniał, bo domyślał się, że swoją zdradził nieświadomość.

— Nie, panie dobrodzieju, nie czytałem.

— Są nieskończenie zajmujące i ciekawe.

— O, wierzę, listy!

Klara usta chusteczką potarła.

— Zapewne pan Bibliotekę Warszawską czytujesz? — zapytała.

— O tak, bibljotekę... pani dobrodziejko.

— Pan czytasz zapewne wiele — dręczyła go con amore, jak pająk, gdy w sieć pochwyci muchę.

— O tak, ale przy gospodarce, to i nie wiele zbywa czasu.

— Wieczory takie długie.

— Papa lubi wywczas.

— Lubisz pan czytać powieści?

— O tak, tak pani dobrodziejko.

Pan Krupnicki miał zapewne dosyć tej rozmowy, więc powstał szybko i trzymając kapelusz oburącz, pokłonił się nasamprzód pani domu, a potem panu. Lucjan podał mu rękę, a kawaler kapelusz upuścił. Podniósł go pospiesznie poczerwieniały i szastnął się razy parę. Pomknął ku drzwiom niezgrabnie. Lucjan wyprowadził go grzecznie.

— Łucku! — zawołała Klara, gdy wrócił, rzucając się na kanapę z uśmiechem— cóż to za figura zakazana!

— Dobre znać chłopaczysko, a nie jego wina że takim wyrósł.

— I dla takich to ludzi drukują czasopisma i wydają książki? O mizerjo prawdziwa!

— Zamiłuje i on może z czasem literaturę krajową.

— Jesteś optymistą! — wyjęła z pod wałka ukryty romans francuski i znowu czytać zaczęła.

O, czyliż nie można było jej wykrzykniką powtórzyć! I dla takich to kobiet drukują czasopisma polskie i książki, które romanse pochłaniają francuskie?! — Wolała francuskie aniżeli polskie, bo te nie są tak drastyczne i wszeteczne. A kto raz w ostrej i drażniącej podniebienie zasmakował potrawie, temu już nie do gustu zdrowa, pożywna strawa.

Wieczorem państwo Trzebiewscy byli znowu w teatrze. Klara zarzuciła śliczną białą, wzorowej elegancji okrywkę i wpięła białą różę we włosy — powiedziała też sobie, spojrzawszy w zwierciadło, że wcale powabnie i dystyngowanie wygląda.

Teatr się zapełnił, bo przyciągają zawsze komedje Fredry.

W jednej z lóż okazała się znowu piękna pani Wszemborska w asystencji trzech kawalerów. Była czarującą w stroju czarnym i różach. Uśmiechała się, rozmawiała z ożywieniem jak zawsze, i wachała wachlarzem, lecz dziś białym ze złotem.

Naprzeciw loży Trzebiewskich zasiadł nadzwyczaj przystojny młody mężczyzna; z ciemno-płowym wąsikiem i bródką, pełen elegancji w ubiorze i poruszeniu każdem. Rozparł się niby niedbale, lecz z gracją pewną i afisz czytał. Powiódł lornetką po lożach i położył ją przed sobą. Klara niezmiernie była ciekawą, intrygował ją, ale męża zapytać nie śmiała. Przybrała wdzięczniejszą, nieco wystudjowaną pozę — a powiedzmy raczej, że kokietowała troszkę. Vis-á-vis popatrzyło na nią; znać zwróciła uwagę,

— Widzę mecenasa w krzesłach — szepnął Lucjan — muszę pójść na chwilę do niego. Wrócę zaraz — i wyszedł.

Vis-á-vis skierowało na nią w tejże chwili lornetkę i patrzyło długo. Klara zmięszała się trochę, lecz zapłonęła z radości. Patrzyła na lewo, na prawo, uniosła wzrok ku drugiemu piętru, to znowu opuściła go na afisz przed sobą rozpostarty, a niby nie zważała, że jest przedmiotem czyjejkolwiek uwagi.

Lucjan powrócił. Orkiestra zagrała. Rozpoczęła się sztuka. Po pierwszym akcie zajmujące vis-á-vis wyszło i powiększyło dwór pani Floryny, która pięknego kawalera powitała podaniem ręki, uśmiechem powabnym i pogadanką żywą. Klara aż zazdrość poczuła. Tam cisnęli się wszyscy, do niej nikt się nie jawił!... Zobaczyła w krzesłach Hilarego Krupnickiego. Gdyby on chociaż przyszedł! Magnetyzowała go wzrokiem — ani się obejrzał; siła atrakcyjna okazała się żadną, bo Hilary wyraźnie był pieńkiem! Może i lękał się dalszego ciągu literackiej rozmowy. Żałowała, że go nie wezwała, by ich w loży odwiedził. Niezgrabjasz ją raził, lecz zawsze lepsze coś, jak nic. Gdyby pomiędzy drugim a trzecim aktem sprowadził go Lucjan! Nie chciałby pewnie... zresztą czyż mogła mu o tem mówić, wyśmiawszy niedowarzonego niby eleganta? Wreszcie dostrzegła przez dobre szkło lornetki, że pan Hilary miał jakieś ciemne rękawice, poprute i niespięte na guziki. Fi donc!

Zaczął się akt drugi. Rzuciwszy z boku spojrzenie, zobaczyła interesujące vis-a-vis znowu na dawnem miejscu.

— Będę z wizytą u pani Floryny! — strzeliło jej w główinie — zapewne dom prowadzi miły, dużo u niej bywa osób, a sama elegancja. Zaraz jutro jadę!

Po drugim akcie zapytała męża:

— Łucku, gdzież państwo Wszemborscy mieszkają?

— W Nastajowie, ztąd o trzy mile.

— Ależ tutaj, w mieście?

— Nie mieszkają tu wcale. Pani sama przybyła na dni kilka... i bawi się.

— Chciałabym się z nią poznać.

— Nie widzę tego potrzeby i nie pragnę tej znajomości dla ciebie. Zresztą ona do Warszawy wyjeżdża.

Klara zniechęcona jakaś spuściła głowę. Vis-á-vis tetaz nie lornetowało jej wcale. Czyliż przestała interesować?

— Chciałabym karmelków—wymówiła do męża.

— Przyniosę ci zaraz — i wybiegł poczciwiec.

Gdy drzwi loży zamknęły się za nim, lornetka z vis-á-vis znowu skierowała się ku niej. Klara nieskończonego zadowolenia doznała; wyraźnie nie chciał jej lornetować przy mężu — a było to grzecznie... Lucjan z karmelkami wrócił. Lornetka naprzeciw zaprzestała czynności. Nie skierowała się nadto w żadną stronę, i to jej pochlebiało.

Skończyło się przedstawienie. Lucjan włożył tumaki na żonę i baszlik złotem haftowany. Podał jej rękę i przeprowadzał wśród tłumu. Przy schodach stał kawaler z vis-á-vis, zapinając paltot. Spotkały się oczy jego wymownie ze spojrzeniem Klary, że aż zapłonęła.

Lucjan go nie znał widocznie. Zeszli wraz z tłumem. Vis-á-vis szło za niemi. Klara wesolutka do powozu wsiadła.

(C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

IV.

Malarze monachijscy.

Od lat dziesięciu, odkąd zamiłowanie do sztuk pięknych, zaczęło w narodzie polskim silniej się objawiać, bardzo wielu z naszej młodzieży udaje się do Monachjum, aby tam pod okiem zdolnych profesorów, i przez wpatrywanie się w dobre wzory, wykształcić się na prawdziwych artystów. Pobyt w tej Florencji południowej Germanji nie pozostał bez wpływu na rozwój sztuki naszej — owoce są widoczne. W ostatnich czasach żaden rok nie upłynie, abyśmy nie słyszeli o kilku nowych malarzach wykształconych w Monachjum, którym uznania nie odmawiają wymagający nawet cudzoziemcy. Na początku roku bieżącego, trzydziestu kilku malarzy polskich, po największej części z monachijskiej Akademji wystąpiło na wiedeńskiej wystawie sztuk pięknych w grupie całkiem odrębnej, a krytycy tamtejsi wpatrzywszy się w utwory tylu nowych pracowników, wyrzekli ze zdumieniem, że artyści nasi mają świetną przyszłość, równocześnie dodając, że ponieważ ich prace noszą na sobie cechy wybitnej oryginalności, więc jakkolwiek trudno jeszcze określić czem się właściwie od

drugich różnią, wolno już dziś mówić o odrębnej szkole polskiej. Takie było zdanie krytyki wiedeńskiej, które na tem miejscu z przyjemnością stwierdzamy.

Przy tej sposobności niech nam będzie wolno stwierdzić także fakt inny. Oto cudzoziemcy zaczynają przyznawać, że tworzy się odrębna szkoła polskiego malarstwa, a tymczasem między nami znajdują się wielcy niszczyciele piór i atramentu, którzy dla marnego popisu, utrzymują z lekceważeniem, że o „sztuce polskiej“ nie może być jeszcze mowy. Chociaż ich głos, żadnym dowodem nie poparty, nie zasługuje na poważną odpowiedź, bez trudu bowiem moglibyśmy im udowodnić, że odkrycie różnic między pojedyńczemi szkołami, nie leży w zakresie ich talentu, mimo to zadamy im kilka pytań bardzo jasnych, a jeżeli nad niemi zastanowią się bodaj chwilę, bez wątpienia przyznają się do błędu.

Czy Artur Grottger naśladował kogo, czy nie jest na wskróś oryginalnym? Czy Jan Matejko naśladuje kogo, czy nie jest na wskróś samodzielnym? Czy Gierymski, Brochocki, Kowalski, Kossak i wielu, wielu innych, naśladują kogo, czy nie są na wskróś samodzielni? A jeżeli w dwóch pierwszych mamy oryginalnych przedstawicieli malarstwa historycznego, w drugich zaś oryginalnych przedstawicieli malarstwa rodzajowego i pejzażu, to czyż z całą słusznością nie możemy utrzymywać, że w Polsce zszedł posiew szkoły odrębnej? Czy aby była szkoła odrębna, potrzeba aż tysiąc artystów, tworzących dzieła w jednym duchu, lub czy przypadkiem nie wystarczy, gdy ich będzie kilkunastu? A jeślibyśmy wszystko co dotąd wyszło z pod ręki polskich malarzy, zebrali w jednem miejscu, czy w tych kilkuset dziełach obok siebie umieszczonych, byłoby trudno dostrzedz wspólnych wszystkim zalet, a nawet wspólnych błędów? Przy sposobności odpowiemy sami na powyższe pytania, a tymczasem prosimy raz jeszcze naszych antagonistów, aby nad niemi zastanowili się spokojnie... Niech nie mniej zastanowią się i nad tem, że z kilku luźnych obrazów trudno jeszcze wnioskować, czy należą one do szkoły odrębnej, bo aby szkołę należycie zrozumieć i ocenić, potrzeba przedewszystkiem odczuć jej ducha. W polskiem zaś malarstwie jest duch odrębny, nie będący odbiciem ani chorobliwo-idealnego, który w Niemczech panuje, ani zbyt realistycznego, który we Francji przeważa; — jest to duch godzący oba te światy, a jeżeli dodamy, że Polacy malują także inaczej jak inni, to z zadowoleniem możemy powiedzieć, że **Polska ma szkołę odrębną**. We właściwych szatach nie poznamy jej atoli nigdy, jeżeli dzieła naszych artystów rozbiegną się po całym świecie. Wtedy rzeczywiście o „szkole polskiej“ mowy nie będzie. Lecz to już nie należy do nas — o tem niech kraj myśli...

Zaledwie lat temu kilka, jak ciekawość zapędziła nas ostatni raz do Monachjum, aby poznać Polaków, kształcących się w tamtejszej Akademji. Jak wielkie zmiany w czterech latach, które nastąpiły! W ówczas zastaliśmy tylko kilku młodych ludzi, dziś już głośnych, którzy dopiero rozpoczynali karjerę artystyczną, a dziś spotykamy się z całym zastępem malarzy, o których w r. 1870 nawet mowy nie było. A ilu będziemy ich mieli za lat dziewięć? Setki może, jeżeli kraj nie odmówi im poparcia.

Do rzędu tych, o których wczoraj jeszcze niceśmy nie słyszeli, a który od razu uderzył nas swoim talentem, należy p. Alfred Kowalski. Na tegoroczną wystawę lwowską nie przysłał on wiele, zaledwie jeden pejzaż, a chociaż pewien krytyk obszedł się z tą pracą dość surowo, odmawiając jej „nowych motywów“ (sic) przecież nie wahamy się wyznać, że jest to *najznakomitszy pejzaż na wystawie tegorocznej, i najznakomitszy z wszystkich, jakie po dziś dzień oglądaliśmy na lwowskich wystawach.*

Przed widzem roztacza się step niezmierzony, przez który drogą błotnistą, zdążając do miasteczka, szarzejącego w głębi, na planie ostatnim, jedzie krok za krokiem wóz z rannymi! Niedawno burza szalała nad stepem, bo i błoto tak wielkie, że aż z kół ścieka, i trawa wszędzie wodą przesiąknięta, a mgły któremi ziemia dysze, i chmury białawe, przecierające się od wschodu pełne wilgoci. Oto wszystko — nic więcej. Kto lubi zamek o kształtach fantastycznych, wyjeżdżających z niego panów i panie na łowy; kto przepada za bladym księżycem, strumykiem szemrzącym w dolinie, brzozą kapiącą modre warkocze w jego jasnym wód krysztale, słowikiem kwilącym w krzaku, bydełkiem z pola wracającem i za pastuszkami przygrywającemi czule na fujarkach; słowem, kto rozumie na obrazie tylko taką naturę, jaką tysiące razy ukazali nam inni artyści, ten w pejzażu p. Kowalskiego w rzeczy samej nie dostrzeże „nowych motywów.“ Domagając się motywów jak na dłoni, biedny nie pojmie, że cały pejzaż p. Kowalskiego jest „jednym motywem.“ Bo i któżby ośmielił się wymalować na pierwszym planie błoto zbyt realne, nasze błoto rodzinne? Któżby odważył się pokazać step, bez drzew i rzeki, ubogi nawet w trawę, step pełen dziur, które porobiły kopyta koni przechodzących? Któżby taki krajobraz ośmielił się ożywić szeregiem wozów, na które widz tylko z tyłu może patrzeć, kto nareszcie miałby zuchwałość zawiesić nad tem wszystkiem, niebo smutne, blade, zapłakane? Chyba ten, kto w całość tak realną, potrafiłby wlać tyle poezji idealnej, ile jej wlał p. Kowalski; dzięki czemu bezduszny jego step ma duszę. Oto motyw zupełnie nowy, oto twórczość umiejąca z niczego coś zrobić.

Tak, w tym bezdusznym stepie jest dusza, dusza całego ludu, który tu mieszka. I jego natura dzika, nieokiełzana, goniąca za przygodami, a pragnąca wiecznej wolności; i jego pieśni rzewne, jak prawdziwe uczucie a melancholijne jak te płaszczyzny bez granic; i jego życie wiecznie na koniu, umiejącym wśród tych równin orjentować się nawet w nocy, — i jego wyobraźnia rozbujała, wierząca w siły nadprzyrodzone — wszystko, wszystko jest na tym obrazie.

W naturze ludzkiej leży chęć wyszukiwania wszędzie stron ujemnych; nikogo przeto nie powinno dziwić, że stanąwszy przed pejzażem p. Kowalskiego, długo szukaliśmy błędów. Szczerość jednak nakazuje nam wyznać, żeśmy ich nie znaleźli. Perspektywa powietrzna jest niezmierzona, ciągnie się bowiem na mil kilka, a trawa, chmury, błoto, konie i wozy nie pozostawiają nic do życzenia; — krótko mówiąc całość jest wykończona po mistrzowsku. Koloryt tak harmonjuje z obranym przedmiotem, że trudno nam sobie wyobrazić taką samą okolicę innemi barwami wymalowaną. Szkoda tylko że artysta staranniej nie wymodelował głów ludzkich, na czem dzieło byłoby znacznie zyskało, i że obraz swój nazwał *Transportem rannych w czasie konfederacji Tyszowieckiej*. Są niestety znawcy, którzy nie wiedząc, że stoją przed pejzażem, ożywionym ludźmi i wozami, myślą, że mają do czynienia z dziełem historycznem, które powinno malować wiernie czasy konfederacji Tyszowieckiej. Przez wzgląd więc na nich, artysta powinien nazwać swoją pracę krócej np. *Transport rannych przez step.* Kończąc nasze uwagi o pejzażu p. Alfreda Kowalskiego, wyjawiamy głębokie przekonanie, że jest on arcydziełem w tej gałęzi malarstwa.

Prócz płótna dopiero opisanego, na wystawie są jeszcze trzy inne, z których każde jest cackiem prawdziwem. Bylibyśmy w niemałym kłopocie, gdyby nas zapytano, które z nich jest najlepsze. Mamy tu na myśli Sidorowicza Zygmunta: *Widok nocny*, Brochockiego Walerego *Widok leśny*, i Ajdukiewicza Tadeusza: *Obóz powstańców z r. 1863.*

Pana Sidorowicza znamy od lat kilku jako bardzo utalentowanego portrecistę; niedawno przekonał nas także o niepospolitych zdolnościach do kompozycji rodzajowych, a teraz witamy w nim pierwszorzędnego pejzażystę. Sądu naszego nie cofamy. Jego *Widok nocny* jest pracą wartości pierwszorzędnej, malowaną po flamandzku, we wszechstronnem znaczeniu tego wyrazu. Obrazek to nie wielki, zaledwie kilka cali wysoki, ale jak bystro podpatrzył na nim artysta naturę w nocy, tak trudną o tej godzinie do podpatrzenia! Grupa wysokich drzew, nad Wisłą, odbija wspaniale od dalszych planów, gdzie widzimy domek, którego jedno okno oświetlone — a w głębi za nim ciemne chmury zapowiadające noc głuchą. Po tym małym obrazku można chodzić do znużenia, tyle na nim przestrzeni. W jednem z pism tutejszych czytałem zdanie że p. S. powinien oddać się tylko portretom, gdyż pejzaż nie leży w zakresie jego talentu. Czy szanowny krytyk widział ten widok malutki, a ujrzawszy, czy go zrozumiał? Wątpię.

Mniej szczęśliwie powiódł się p. Sidorowiczowi *Widok wieczorny*. Tu więcej już eteru, niż właściwego powietrza, koloryt nieba trąci konwencjonalizmem a ostatnie plany na lewo tak są niejasno malowane, iż jedni myślą, że to obłoki oblane krwawemi promieniami słońca zachodzącego — a ja chciałbym nabrać przekonania, że to pożar traw w polu. Za to cała partja na prawo wypadła jak najlepiej, drzewa zaś i krzaki, ciemne od strony widza, a oświetlone od głębi są pomysłem nadzwyczaj szczęśliwie wykonanym.

P. Brochocki lubi las polski, dobrze już przetrzebiony, od którego ciemnej zieleni odbija się biały pień brzozy. Do takiego to lasu lubi także nad wieczorem lub do dnia nasz wieśniak zaglądać, aby ukradkiem wywieść furkę paliwa. Zakradł on się i teraz, ale na nieszczęście leśniczy zszedł go na gorącym uczynku. Woły zatrzymały się z wozem napełnionym drzewem do połowy, a ich właściciel zdjął czapkę pokornie i przed panem leśniczym tłumaczy się jak może. W głębi widać dziewczynę, zbierającą połamane gałęzie a niepodal leśniczego stoi piękny wyżeł. Opisana scena służy tylko do ożywienia miejscowości, na którą artysta główną zwrócił uwagę. Wykończył ją też bez zarzutu. Drzewa powietrze, oświetlenie, perspektywa wszystko bardzo piękne i bardzo prawdziwe.

Obóz powstańców z r. 1863. p. Ajdukiewicza Tadeusza, jest w połowie pejzażem, a w połowie kompozycją historyczno - rodzajową. Pejzażowi mielibyśmy do zarzucenia zbytnie wykończenie planów ostatnich, skutkiem czego drzewa na

nich rysują się wybitniej, niżby to być powinno i małe zboczenie w perspektywie, tworzące z równiny pagórek, (na pagórku powstańcy z wozami i końmi nie mogli rozbijać obozu) ale za to ugrupowanie ludzi, i taboru, jest nienaganne. Głowy powstańców zebranych na przedzie pod drzewem, są malutkie, a mimo to każdą artysta wymodelował tak starannie, że nie trudno wyczytać z nich charakter. Szczególnie pięknym jest młodzieniec siedzący, który rękoma oplótł swoją nogę. Te ręce są wykończone z cierpliwością godną uznania.

P. Łoś Włodzimierz, z którym pierwszy raz się spotykamy, przypomina bardzo p. Kowalskiego. I u niego błoto na pierwszym planie — i u niego step, przez który jadą wieśniacy na jarmark. Gdyby cała połowa na lewo nie była tak zaniedbaną, a chmury na planie ostatnim nie tak ciężkie, musielibyśmy go postawić prawie na równi z jego kolegą. Talent to wielki, który przy pracy wytrwałej znakomicie może się rozwinąć. Grupa koni na drodze, a druga włościan zebranych przed budą żebraka w polu zasługują na wszelką pochwałę.

P. Szwojnicki Roman, to także talent nie codzienny. Jego *Podjazd na Litwie* miłe robi wrażenie, a gdyby siwy koń na planie pierwszym nie był tak nędzny, i gdyby jeźdzcy ukazujący się na wzgórku, stosownie do swoich rozmiarów znajdowali się znacznie głębiej, całość byłaby nierównie lepiej wypadła. Koń chudy i z nogami zerwanemi zbyt często powtarza się w naturze, byśmy go aż „malować potrzebowali, a dobra perspektywa jest głównym warunkiem dobrego pejzażu.

Oto wszyscy pejzażyści monachijscy. Teraz przystąpimy do kompozycji rodzajowych, przysłanych także z Monachjum.

(C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

II.

W kilka dni po wypadku w teatrze, carowa widocznie zaczęła upadać na siłach; przyczem dręczyły ją straszne kolki, których uśmierzyć nie mogły żadne lekarstwa. Ztąd powstała u niej myśl powrócenia do nałogu, i dla przygłuszenia bolu, zaczęła zapijać się na śmierć, (pit' miortwuju czaszu.) Próżne były wszystkie perswazje lekarzy, którzy starali się jej dowieść, że sama sobie skraca życie; próżne były także usiłowania służby, ukrycia przed nią trunków. Elżbieta wydała surowy rozkaz, aby skrzynka z niemi stała ciągle w sypialnym pokoju, klucz od niej złożono jej pod poduszkę.

Odkąd przekonano się, że koniec jej bliski, matacze dworscy ożywili się, tworząc dwa stronnictwa. Jedno z nich złożone z pozostałych stronników Bestużewa, niezmiennych stronników w. księżnej, nad którą po wygnaniu starego kanclerza obrano przewódzcą Iwana Iwanowicza Szuwałowa, słynnego z chciwości, przed którą drżeli kupcy moskiewscy, i z bezczelnego oszustwa, za co pogardzał nim w. książę, ponieważ miał liczne tego dowody. Szuwałow wiedząc, że sobie nie potrafi zaskarbić łaski przyszłego monarchy, i obawiając się jego zemsty po śmierci Elżbiety, postanowił dołożyć wszelkich starań, aby mu uniemożliwić objęcie władzy. Pozostając wiernym planowi, nakreślonemu ręką Bestużewa przed 20 laty, oraz utwierdzając carowę w jej przypuszczeniach, pozornie niby przystawał na wyniesienie w. księcia na tron moskiewski, ale równocześnie domagał się, by rządy państwa były oddane do rąk w. księżnej, przy współudziale rady, której spodziewał się zostać prezydentem.

W. księżna jakkolwiek w głębi duszy była mocno rozgniewaną na Szuwałowa, za to, że pozostawił sobie najwyższą władzę, pomagała mu wszelkiemi siłami do urzeczywistnienia tych zamiarów; dwie pobudki nakłaniały ją do tego: strach i duma, a im goręcej pragnęła chwycić w swoje ręce władzę najwyższą, tem staranniej to ukrywała zwłaszcza przed tymi, którzy rzadziej u niej bywali. Okazując przed nimi zupełną obojętność, twierdziła nawet, że milszy dla niej tytuł matki imperatora, niżeli jego małżonki; równocześnie jednak nie tając się i z tem, że z chwilą odkrycia jej postępków miała wszelkie po wody obawiać się w. księcia, który nie ukrywał swej nienawiści ku niej i często nawet łajał ją publicznie.

Innem stronnictwem, które siało niesnaski na dworze, było stronnictwo senatora Woroncowa, brata kanclerza, pragnące wyniesienia bezwarunkowego w. księcia na tron. Ten Woroncow był to najdumniejszy a zarazem najpodlejszy ze wszystkich bojarów. Był przy tem dosyć rozumny i odważny, lecz rozum swój obracał na wyszukiwanie środków dla swojej przewrotności, a odwagę na pogardzanie powszechną pogardą, którą miano dla niego. Córka jego była kochanką w. księcia, a senator, który jak o tem wspomnieliśmy wyżej, ułatwił sam ten stosunek, korzystając ze swobodnego wstępu w każdym czasie do w. księcia, pilnował nieustannie, by węzeł jeszcze mocniej zacisnąć. Więcej, jak kto inny, miewał on sposobności drażnić księcia przeciwko żonie i wmawiać weń, co powinien uczynić po wstąpieniu na tron. Potrafił też do tego stopnia zaskarbić sobie jego zaufanie, że w. książę nic nie umiał zrobić bez porady Woroncowa, albo jego córki. W końcu ich wytrwałym zachęcaniom (silnym podstrekanjam) udało się utwierdzić w nim postanowienie, żeby w chwili zgonu carowej zebrał wojsko, ogłosił się imperatorem, wydalił w. księżnę od siebie, uznał Pawła za dziecię pochodzące z nieprawego łoża a zaślubił Elżbietę Romanównę Woroncowę.

Wszystko zdawało się zapewniać powodzenie zamiarom w. księcia; wprawdzie nie podobał się on dworakom, ale za to naród czcił w nim zawsze potomka Piotra W. Woroncow prócz tego był sprytniejszy jak Szuwałow, i miał niezłomną nadzieję, że uzyska pieniężną pomoc Anglji. Wśród tych zabiegów pokątnych, zmyślań i wietrzeń, któremi obie partje napełniały dwór umierającej carycy, przedział między nimi z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy. Zjawił się wtedy człowiek, którego wystąpienie ukróciło waśń pomiędzy stronami i wszystkich pojednało; był to nim hr. Panin. Pochodzenie jego było wcale nie znakomite, a karjerę zaczął od szeregowca w konnej gwardji przy carowej Elżbiecie. Kurakina protekcji zawdzięczał wyniesienie siebie do godności kamerjunkra; tu upatrzyła go sobie carowa, ale ponieważ Panin prócz figury nie miał żadnych innych zalet, więc zdecydowała się wysłać go w 1749 roku z tytułem pełnomocnego ministra na dwór Sztokholmski, a po powrocie ztamtąd, zrobiła go guwernerem (djadkoju) Pawła Piotrowicza; później został on pierwszym ministrem za panowania Katarzyny. Panin posiadał bardzo ograniczone wiadomości a rozum jego należał do tego rodzaju mierności, którym zdaje się, że to co one wiedzą albo o czem myślą, musi być najlepszem. Pobyt w Szwecji wprowadził go na domysł, że arystokratyczny rząd z senatem, jest najlepszą formą rządu, i z całym uporem trzymał się tych pojęć; prócz tego Panin był leniwcem, niesłownym, a lubił nadzwyczajnie ogadywania i plotki.

Zostawszy raz hofmajstrem przy młodym księciu, musiał wybrać pomiędzy w. księciem a w. księżną. Panin nie długo się wahał, i całą duszą oddał się na usługi Katarzyny; zaszczycony jej zaufaniem oraz wiedząc o zamiarze wydarcia berła z rąk jej męża, z łatwością przewidział trudności i niebezpieczeństwa, na jakie ona się narażała; między innemi brał i to w rachubę, że plany mogą ją zawieść, a jakąż wtedy byłaby jej przyszłość? Oto mogła być odpędzoną od tronu, pozbawioną związku małżeńskiego i opłakującą gorzki los swego syna; a tego bał się najwięcej. Dla uniknięcia nieszczęścia, zamyślił pogodzić nadzwyczajne wymagania obydwóch stronnictw, ku czemu najlepiej posłużyło mu straszenie ich wzajemną nienawiścią. Tak udało mu się pogodzić obiedwie strony, w sprawie wyniesienia na tron w. księcia, z tem jednak, by obwołanie go carem nie zostało uskutecznionem przez wojsko lecz przez senat, który jednocześnie miał ograniczyć jego władzę i zatwierdzić godność w księżnej, jako też jej syna.

Ułożywszy plan, Panin szukał środków potrzebnych do jego wykonania. Uczucie ludzkości przemówiło doń, lecz na bardzo krótko. Wrodzone lenistwo zamieniło się u niego na nieustającą pracę, a gadulstwo przeszło w skromność; nie dowierzał nawet w. księżnej i starannie ukrywał przed nią tajemnicę planu. Dla zmylenia pozorów, przestał ją widywać i udał jakoby przerzucił się do przeciwnego obozu. A gdy na ostatku całkiem się już upewnił, że nie jest podejrzywanym, potajemnie zjawił się u hr. Szuwałowa. Ten był mocno zaniepokojony i pełen przerażenia majaczył ciągle o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło, za pełnienie głównych obowiązków w spisku, którego był założycielem. Chciwy zaszczytów jego brat stryjeczny, Piotr Szuwałow, był zuchwałym, romantycznie hazardownym i miał naturę całkiem odmienną od Iwana Iwanowicza; wyobrażał on sobie, że nikt prócz niego nie jest w stanie przeszkodzić panowaniu w. księcia, a brata Iwana miał za proste narzędzie swoje; zasłynął on także jako wynalazca dział, które znane były w Europie (?) pod jego nazwiskiem. Piotr Szuwałow był podtenczas chory obłożnie, i to było powodem, że nie miał kto podtrzymywać zuchwałości w pysznym acz małego ducha faworycie Elżbiety.

Okoliczności sprzyjały tedy Paninowi, a on nie ociągając się, potrafił je wyzyskać na swoją korzyść; mając łatwość po temu, wzbudził sztuczny strach w Szuwałowie, powiększając niebezpieczeństwo, w które tenże mógł popaść.

— Zkąd wzięła się w was ta śmiałość, że chcecie walczyć z w. księciem? — perswadował Panin. — Chyba chcecie sami siebie zgubić, bo wyzywacie przedwczesny swój zgon, myśląc o zrzuceniu z tronu tego, którego wybrała sama carowa i który posiada prawny stopień pokre-

wieństwa, potrzebny by został jedynym następcą tronu? Przypuśćmy, że potraficie mu w tem przeszkodzić, lecz w takim razie jak długo będziecie mogli korzystać z małoletności nowego monarchy? Wszak małoletność nie potrwa tak długo, aby mogła ustrzedz was od zguby, na jaką czyhać będzie mnóstwo spółzawodników i malkontentów? Jeżeli was pierwszy cios nie trafi, to czyż sądzicie, że od powtórnego uchronić się zdołacie? Podług mnie najrozsądniej będzie, jeśli się zbliżycie do w. księcia, gdy jeszcze czas po temu. W. książę wie o przeszkodach, jakie się gotują, i będzie nadzwyczaj zadowolony, jeśli za cenę niewielu ustępstw uwolni się od wszelkiego niebezpieczeństwa. Pozwólmy mu przeto spokojnie zasiąść na tronie, pod warunkiem atoli, że nam zapewni wszelkie bezpieczeństwo oraz że nigdy nie będzie mógł użyć na złe swojej mocy. Zbytecznem byłoby teraz objaśniać, jakie powinne być warunki, lecz jeśli nie będziecie przeciwni memu zdaniu, nie wątpię, że sam w. książę z ochotą do niego się przyłączy, a wtedy daję słowo, że odkryję przed wami mój plan, zdolny pojednać wszystkie stronnictwa.

Iwan Iwanowicz Szuwałow słowa na to nie odrzekł, lecz przekonany o mądrości Panina, pojechał do brata Piotra Iwanowicza i opowiedział mu wszystko. Choroba osłabiła przytomność Piotra a z nią spadł także poziom wyniosłych jego planów, z łatwością przeto dał się przekonać, bojąc się nawet brata; lecz chociaż zrzekł się ambitnych zamiarów, chciał jeszcze raz odegrać pierwszą rolę; w skutek czego posłał oznajmić w. księciu, że ponieważ jest obłożnie chorym i nie może podnieść się z łóżka, przeto uprasza najusilniej, aby uszczęśliwił go swemi odwiedzinami, dla wysłuchania ważnej tajemnicy stanu. W. książę zaraz przyjechał.

Piotr Iwanowicz mówił doń z zapałem, jak człowiek zbliżający się do grobu (istotnie umarł na tę chorobę), który nie skłamie, ponieważ nie ma żadnej obawy ani nadziei przed sobą.

— N. Panie! (hosudar) przemówił — wiadome muszą Wam być uprzedzenia, jakie mają do Ciebie: naród jest przekonany, że kochasz więcej Niemców, aniżeli Rossjan, popi boją się ciebie, a bojarowie nienawidzą; wszystko zapowiada, że panowanie twoje będzie burzliwem, gdyż dla zapobieżenia nienawistnym zmianom, których spodziewają się po tobie, nieprzyjaźni uciekną do ostateczności. Zresztą nie wiadomo mi, jakie są Twoje istotne zamiary, nie wiem także czy zatryumfujesz nad nieprzyjaciołmi lub czy oni wezmą górę nad tobą; wszelako jeżelibyś uczynił to, czego się spodziewają, t. j. jeślibyś oddalił od siebie w. księżnę, odebrawszy jej prawa ślubnej małżonki, dla tego tylko, aby zawrzeć nowy związek z kobietą tak podłą jak hr. Woroncowa, to w takim razie zastanów się N. Panie nad niesnaskami jakie przygotowujesz, zastanów się, że wcześniej czy później padniesz ofiarą i na wieki będziesz pohańbiony!

Podczas całej przemowy, w. książę, to czerwieniał, to bladł, a gdy Piotr Iwanowicz umilkł, upewniał go, że wszystkie te pogłoski rozsiewane przez złych ludzi, były czystym wymysłem, ponieważ nigdy nie było jego zamiarem rozrywać ślubów małżeńskich. Wszelako szczerość ostatnich zapewnień w. księcia podają w wątpliwość, następujące słowa, któremi swoją odpowiedź zakończył:

— Być może, że Elżbieta Romanówna rozsiewa o sobie podobne pogłoski, znaną jest bowiem powszechnie jej wietrzność; prawdą jest także żem przyrzekł z nią się ożenić, gdy w. księżna umrze, ale ona dotąd nawet chorą nie była!

Pragnąc z całej duszy pogodzić się z w. księciem, Piotr Iwanowicz nie zwrócił uwagi na zakończenie, i zadowolił się zupełnie przyrzeczeniem iż zapomni wszystko, cokolwiek przeciwko niemu było przedsiębranem. Zgoda nastąpiła zatem bez wielkich zachodów.

(C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

XIV.

Niespodziewani przyjaciele.

Szóstego listopada powrócił porucznik Baker z próżnemi okrętami z Gondokoro, z oddziałem podpułkownika Achmeta, i wieściami wcale nie wesołemi.

Po opuszczeniu pozycji zajmowanej przez majora Abdullah, krajowcy napadli na stację podpułkownika. W zaciętej walce, którą z wielkiem wysileniem udało im się odeprzeć, zostało zabitych dwóch ludzi, kilku ranionych, a sam Achmet dostał kolczatą strzałę w same plecy, która do dziś jeszcze tkwi w ranie. Ziarno tylko zostało szczęśliwie dostawione do Gondokoro. Ztamtąd 3. listopada odpłynęły okręty do Khartum unosząc 1,100 ludzi razem z dziećmi, kobietami, wioślarzami, żołnierzami i inwalidami. Mimo stanowczego rozkazu, żeby tylko ci wracali, którzy rzeczywiście są chorzy, Raouf Bej dozwolił oddalić się wielu żołnierzom zdrowym, redukując tem siłę ekspedycji do 502 ludzi, między którymi byli także oficerowie i pięćdziesięciu dwóch wioślarzy. Wyprawa, która powinna była składać się z 1.645 ludzi została zatem tak uszczuplona, że zdawało się niemożebnem posuwanie w głąb kraju. Barysi byli w otwartej z nami wojnie, na ludzi handlarskich kompanji nie można było liczyć, zdradzali nas na każdym kroku; w tym składzie rzeczy, z trzecią zaledwie częścią potrzebnej siły, miałem znieść handel niewolnikami i przyłączyć do Egiptu rozległe ekwatorjalne części kraju.

Abou Saood, zdawał się wygrywać partję. Z tak małym zastępem ludzi czyż można było myśleć o znaczniejszem oddaleniu się od głównego obozu? Mój kontrakt służbowy kończył się z 1ym kwietniem 1873, a zatem miałem jeszcze tylko rok i cztery miesiące, w którym to czasie wydawało się prawie niemożliwem dopięcie zamierzonego celu. Co do zasiłku z Khartum nie było nawet o czem myśleć. Wysłałem wprawdzie listy do wice-króla, uskarżając się na spiski oficerów, z dołączeniem dokumentów potwierdzających moje słowa, i przedłożyłem równocześnie Jego Wysokości konieczność natychmiastowego otworzenia kanału Białego Nilu; ale kiedy miał nastąpić czynny skutek moich przedstawień? Do Djafir Paszy posłałem również list dopominający się zasiłku z ludzi i większego zapasu dury*). Po niejakim czasie widząc, że nie ma prawie żadnej nadziei na jakąkolwiek pomoc, postanowiłem obmyśleć sam środki do przeprowadzenia zamierzonej wyprawy, nie spuszczając się na żaden zasiłki.

Siła, z którą teraz działałem, była połową mego całego zastępu; 251 ludzi wystarczało mi na podbicie kraju, a Gondokoro było dostatecznie ufortyfikowane, żeby oprzeć się napadom. Zapasy zboża mogły mi wystarczyć na więcej niż dwanaście miesięcy, i chociaż liczba ludzi znacznie się zmniejszyła, wszelako ci, co zostali, byli silni i zdrowi. Nie rozpaczałem jeszcze, owszem postanowiłem zwalczając wszelkie intrygi, znieść koniecznie przy Bożej pomocy handel niewolnikami, i przyłączyć do Egiptu ekwatorjalne prowincje.

Chcąc jeszcze dalej zbadać okolice, 10. listopada, wziąwszy z sobą 150 ludzi, puściłem się do ostatniej katarakty Białego Nilu, oddalonej sześć mil na południe od punktu, gdzieśmy teraz przebywali. Ze świtem wyruszyliśmy w drogę, idąc wyżyną ciągnącą się wzdłuż rzeki, wyżyną, na której dni temu kilka mieliśmy utarczkę z krajowcami. Śliczny kraj z agronomicznego punktu widzenia, roztaczał się przed nami; długo ciągnące się wzgórza zasłane były niezliczonemi wsiami, gdzie przepełnione zbożem śpichlerze świadczyły o niezmiernem bogactwie roli. Łagodnie spadziste pagórki zasłane zielonością prowadziły w głąb dolin, na dnie których najczęściej sączyły się na pół wyschłe strumienie. Przeszedłszy dość szerokie koryto jednego z takich strumieni, wchodziliśmy właśnie na szczyt wzgórza, zkąd ku wielkiemu memu zdziwieniu ujrzałem znaczny tłum krajowców, którzy jakby nie zwracając na nas uwagi, o ucieczce wcale nie myśleli. W ich słowach i ruchach, nie było także oznak nieprzyjaźni. Oddawszy strzelbę Monsorowi, podjechałem do nich o jakie pięćdziesiąt kroków, na pozór bezbronny, lecz w olstrach miałem na wszelki przypadek parę pistoletów. Tłumacz mój, Morgian, zbliżywszy się, przemówił do nich, objaśniając, żem nie przyszedł w czemkolwiek ich niepokoić, robię bowiem naukowe badania, i nie zamierzam napadać na ich własność, pragnąłbym tylko widzieć się z szejkiem. Odebrałem na to bardzo grzeczną odpowiedź, była to pierwsza, jakiej doczekałem się od Barysów. Powiedzieli, że chociaż są z plemienia Bari, nie mają żadnych związków z ludźmi, co się z nami bili, a wielki ich szejk nazywa się Bedden i kraj podległy jego rządom zaczyna się od rzeki, którą właśnieśmy przebyli. Na dzień następny zapowiedzieli mi swoje odwiedziny wraz z szejkiem, ofiarując się tymczasem dostawić nam tyle zboża, ile zażądamy. Była to uprzejmość, do której okoliczni murzyni wcale mnie nie przyzwyczaili; dziękując więc za niespodziewaną usłużność, odpowiedziałem, że prócz ich przyjaźni nic więcej od nich nie żądamy. W ciągu dalszej rozmowy, dowiedziałem się, że nie mieli żadnych stosunków z handlarzami niewolników, ci bowiem bali się zaczepiać tak potężne plemię. Przy pożegnaniu dałem im białą chustkę na znak, gdy przyjdą jutro nas odwidzić, poczem wróciliśmy do obozu uszczęśliwieni odkryciem takich przyjaciół. Na drugi dzień o 3ej po południu przednia straż

*) Ludzie wysłani mi w pomoc, spędzili trzynaście miesięcy w podróży z Khartum do Gondokoro, i przybyli pod sam koniec ekspedycji.

oznajmiła mi, że krajowcy nadciągają w znacznej liczbie. Domyślając się, że to będzie orszak szejka Bedden, wszedłem na małą wyniosłość obserwując ich przez teleskop. Tłum składający się z 700 ludzi, towarzyszący tym odwidzinom, wzbudził poniekąd moje podejrzenie, powróciwszy do obozu, zacząłem tedy robić przygotowania na przyjęcie honorowe moich gości. Szereg złożony ze 100 ludzi postawiłem równolegle z brzegiem rzeki, zacząwszy od mego okrętu, a wyciągnięta druga linja z 50 ludzi łączyła się z nim pod kątem prostym, formując dwie części kwadratu; na froncie stała armata; i w takiej postawie chciałem z wszelkiemi ceremonjami przyjąć szejka, oddając mu honory wojskowe, które w razie zdrady mogły posłużyć na zgniecenie nieprzyjaciela. Gdy straż uwiadomiła o nadejściu posła, który powiewał przywiązaną do bambusa chustką, był to znak umówiony, kazałem go bezzwłocznie przepuścić. Stanął przedemną, oznajmiając przybycie wielkiego szejka. Jednocześnie prawie wchodził w kwadrat, zformowany przez moje wojsko, wysoki i tęgi mężczyzna, i bez najmniejszego wahania krocząc na czele swego licznego orszaku, wbił lancę w ziemię i usiadł w samym środku; za jego przykładem poszła reszta grona. Wtenczas wysłałem prosić wielkiego szejka, i kilku starszych z otoczenia, aby przyszli do mnie na okręt. Na tylnej części pokładu miałem urządzony salon recepcyjny, wyłożony dywanami; dokoła stały niskie sofki i kilka stołków. Widok tego urządzenia wywołał pewne zdziwienie, gdyż szejk Bedden nigdy nie widział nic podobnego, a okręty mógł obserwować tylko z daleka. Rozpoczynając znajomość od podarunków, ofiarowałem mu zaraz niebieską koszulę egipską, sięgającą po kostki, która z fezem na głowie i szeroką karmazynową szarfą robiła go wcale poważnym, poczem starałem się objaśnić mu cel przedsięwziętej ekspedycji. Po wyczerpującem tłumaczeniu, przyszła znowu kolej na podarunki i zaczęły występować różnokolorowe paciorki, dzwonki, janczarki i lusterka, co wszystko wielkie wzbudzało podziwienie i radość. Z porządku rzeczy przystąpiliśmy do objaśnienia użytku armaty, rozwodząc się nader szeroko nad strasznemi skutkami kuli kartaczowej, czem bez trudu wzbudziłem w nich szacunek dla palnej broni. W zamian dostaliśmy od szejka sześć dzbanków merissy i kilka ptaków.

Ludzie ci są nadzwyczajnie zabobonni, i głęboko wierzą w wszelkie czary; każdy szejk zaopatruje się w różne talizmany, składające się ze skorup z żółwia, lwich i tygrysich pazurów, korzeni, sęków pewnych gatunków drzew, i wielu innych rzeczy, które noszą zawieszone na sobie. Zobaczywszy papugę mojej żony gatunku popielatego zachodniej Afryki, całkiem nieznaną w tych stronach, uwierzyli, że to czarnoksiężnik. Mój tłumacz, wystawiając na próbę ich łatwowierność, zaczął mówić temi słowy:

— Ptak ten gada zupełnie jak człowiek, a przelatując po okolicach, słucha co ludzie mówią, poczem wraca, aby wszystko powtórzyć swojej pani lub panu, ztąd też Pasza i jego żona wiedzą dokładnie co się dzieje i krajowcy żadną miarą nie mogą ich oszukać.

Podczas wygłaszania tej apoteozy ptaka, papuga, która była bardzo z nami oswojona i nigdy nie zamykana, przechadzała się po pokładzie, a w chwili gdy szejk i jego towarzysze z osłupieniem spoglądali na Morgiana, słysząc przestraszające dla nich dziwy o zaczarowanym ptaku, moja papuga odważnie przystępując do Beddena, zamierzyła się wprost do jego pięty, i żeby nie szybki skok szejka, byłaby pewnie go ukąsiła, zwiększając jeszcze ogólne przerażenie.

Dla uświetnienia tych odwidzin przyszły z kolei aparat elektryczny i katarynka zbierać hołdy i podziwy, olśnionych tylu nowościami murzynów. Z zachodem słońca oddalił się wielki szejk w najlepszym humorze, uraczywszy się przedtem potężnym kieliszkiem.

Ludność tej okolicy jest bardzo liczna, i zajmuje się wyłącznie rolnictwem, które też w kwitnącym pozostaje stanie. Mimo kamienistości, grunt jest bardzo żyzny, zawdzięczając starannemu obrobieniu plon obfity. Dura, sesamé, fasola, gatunek *Hibiscusa* wydający nasienie służące za pokarm krajowcom, uprawiane są w podłużnych kwadratach, przypominających zagony. W pobliżu wsi założone duże gnojarnie służą za zbiorniki nawozu, wynoszonego z oborników, który pomięszany ze śmieciem wyrzucanem ze wsi i popiołem pochodzącym ze spalonego suchego gnoju, jest w razie potrzeby rozdzielany między właścicieli bydła. Każda krowa powinna dać przeciętnie obliczoną ilość nawozu, zanim nadejdzie pora dżdżysta, gdyż w tym czasie zaczynają się roboty w polu; tak więc właściciel wielu krów może uprawiać znaczną przestrzeń gruntu. Bydło pasie się wspólnie na jednej lub dwóch łąkach, a nawóz tamże zostający nie marnuje się, lecz po zrobionym podziale zostaje w dużych koszach wynoszony na pole, gdzie grubo go rozrzucają. Zasiane ziarno pokrywają ziemią przy pomocy motyk.

Pod względem geologicznym kraj ten obfituje prawdopodobnie w drogie kruszce. Ogromne masy różowego lub lodowato-białego kwarcu, piętrzą się nad powierzchnią ziemi, ciągnąc się prostą prawie linją z zachodu na wschód przez mil cztery. Skały po największej części granitowe, składają się ze syenitu z pokładem mięszanego łupku w najniższych warstwach, a gdzie niegdzie rozpadliny bazaltu rozrywając w takich miejscach jałową ziemię, wystawiają nagie ciosy na pastwę burz i wichrów.

Często bardzo robiłem poszukiwania w głębokich wąwozach, gdzie bystre potoki zmyły powierzchnię gruntu, ale nigdzie nie zdarzyło mi się znaleść ani złota ani żadnego innego kruszcu drogiego, prócz wielkiej ilości rudy magnetycznego żelaza, znajdującej się w łożyskach strumieni.

XV.

Niespodziewane polowanie na słonie.

O wschodzie słońca 13. listopada wysłałem porucznika Baker z oddziałem dla przeprowadzenia zboża z odległej wsi na okręty, a sam siedząc na pokładzie używałem rozkoszy odpoczynku z fajką w ustach i przy filiżance kawy, gdy nagle ujrzałem porucznika cwałem wracającego. Wielką nowiną było ukazanie się stada słoni, które z zachodu posuwało się brzegiem rzeki. Nie będąc przygotowanym na to polowanie, zresztą nie przypuszczając, żeby słonie zbliżyły się aż do naszej pozycji, zwłaszcza, że w części kraju zupełnie otwartej musiał je już spłoszyć widok żołnierzy, rozkazałem porucznikowi, aby niezwłocznie wracał do swoich ludzi, którzy tymczasem mogą czas marnować, a sam zabrałem się do pisania mego dziennika. W kwadrans straż oznajmiła zbliżanie się stada. Wszyscy ludzie wybiegli z obozu, wdrapując się, gdzie kto mógł na najwyższe punkta, aby zobaczyć to dziwo; my tymczasem z naszego okrętu doskonały mieliśmy punkt obserwacyjny. Jedenaście samców postępowało we wzorowym porządku brzegiem rzeki o jakie 500 kroków. Widok stada słoni pokazanego mi w Hyde-Parku byłby mnie może równie zdziwił, jak spotkanie się z niemi w odsłoniętej i tak zaludnionej okolicy. Krajowcy ukazując się na odległych wzgórzach z równem widocznie spoglądali osłupieniem na to niepospolite zjawisko. Słonie tymczasem szły najspokojniej, rzucając w górę trąbami, i nie zdawały się zwracać uwagi ani na okręty, ani na ludzi dokoła zgromadzonych. Widząc ich w takiej bliskości, kazałem osiodłać coprędzej konia *Gridy Grey*, i przynieść memu służącemu Suleimanowi amunicję i strzelby, które w wielkim porządku, podług kalibru wisiały w mojej kajucie. Dosiadłszy konia, ludziom dałem zlecenie, żeby biegnąc przez wzgórza rozstawili się jak w tyralierce o 200 kroków w tyle stada, w celu przecięcia im odwrotu, w razie zaś gdyby usiłowały przedrzeć się przez ich linję, mieli rozkaz strzelać.

Przestrzeń ciągnąca się do miejsca, którym postępowały słonie, była trochę spadzista, ale tak równa, że puściwszy w galop mego araba mogłem ją przebiedz w całym pędzie. Na widok cwałującego białego konia, okrzyk podziwu ozwał się z sąsiednich pagórków, gdzie zebrane tłumy krajowców, zdawały się oczekiwać, jakim sposobem koń biały zdoła schwytać słonie. W kilka minut przeleciałem oddzielającą mię przestrzeń, wbiegając na pagórek, wznoszący się o jakie 100 kroków od stada, które przystanęło pod brzegiem, patrząc z niejakiem zadziwieniem i ścieśniając swoje szeregi. Tymczasem moi ludzie pospieszając przez wzgórza, spuszczali się z pochyłości góry do brzegu rzeki uciętego prostopadle, i tam rozstawieni zajęli przestrzeń, odgraniczającą pobliskie pagórki. Podczas tego manewru słonie stojąc w miejscu, poruszały regularnie trąby i uszy. Były teraz kompletnie okolone: z przodu znajdowały się okręty i ludzie z obozu, z jednego boku byłem ja i kilku przybiegłych z bronią służących; tył zajęło im dwudziestu żołnierzy, a tuż koło nich ciągnął się na 110 łok. ang. szeroki kanał oddzielający wyspę od stałego lądu. W chwili gdy się pochyliłem, aby wziąć podawaną mi broń, słonie po namyśle odwróciły się nagle, wpadając w wodę.

Dopadłem rzeki, ale przez ten czas słonie przepłynęły już koryto usiłując wydostać się na brzeg przeciwległy. Tu stado natrafiło na niemałą trudność. Woda była głęboka, a brzeg wyspy wznosił się prostopadle na jakie sześć stóp w górę; dostać się na wierzch nie można zatem było jak tylko przez oberwania brzegu tak, aby się utworzyła mała spadzistość. Słonie przyzwyczajone do zwalczania różnych przeszkód wzięły się do dzieła, obrywając trąbami i kłami duże kawały ziemi. Była to jednak praca wymagająca czasu, co mi nastręczyło sposobność spróbowania moich strzałów.

Słonie były prawie całkiem zanurzone, a oprócz tego oddalenie przeszło 110 kroków utrudniało trafne wymierzenie do tego zwierza, który musi dostać kulę w pewne tylko miejsce, ażeby od niej był zabity. Wypaliłem kilka razy w tył ich głowy bez najmniejszego jednak skutku; siła uderzającej kuli wprawiała je w chwilowe odurzenie, w którem jeden wywrócił się w znak między towarzyszy, a drugi legł na jeden bok. Brzeg tymczasem ustępował, i odrywając się

w dużych kawałach, spadał w wodę zmniejszając jej głębokość; słonie uzyskawszy teraz błotnisty wprawdzie i grzęzki, ale zawsze jaki taki punkt oparcia, z ponowną siłą ryły i odrywały duże bryły lądu, podczas gdy ludzie moi posyłali im strzały karabinowe, które przyjmowały jak rzucane kamienie. Ogromne bryły lądu staczając się w rzekę, zaścielały jej koryto, a pluskające stado coraz więcej wydostając się nad powierzchnię wody ukazywało olbrzymie ciała. Jeden z nich na wpół wdrapawszy się na brzeg, stał chwilę bokiem do mnie zwrócony. Wymierzyłem pod łopatkę i dawszy dwa strzały ujrzałem mego słonia padającego wznak do wody, gdzie rozbijając się w dzikich konwulsjach, przypłynął na dwadzieścia kroków do mego stanowiska, zkąd posłana kula w głowę zakończyła jego szamotanie.

W tym czasie na brzeg całkiem już rozwalony wdrapywał się na sam szczyt jeden duży słoń; dałem doń ognia z mego sztucera nabitego dwunastu drachmami cienkiego prochu; po wystrzale sztucer wyrwał mi się z rąk, padając o kilka łokci odemnie. Broń ta pochodziła z fabryki Mr. Hollanda, i była najsilniejszą, jaką kiedykolwiek miałem; z niej strzelając ładunkiem dwunasto drachmowym, można było na pewne zabić słonia, i być na wpół zabitym. Będąc z natury dość silnym, nie zostałem zabity, ale jeden myśliwy Arab, strzelając z niej grubym prochem, miał obojczyk złamany, a gdyby był użył cienkiego, kto wie, czy uszedłby był z życiem. W tym czasie poczęstowany kulą słoń ukląkł na pochyłości; wypaliłem jeszcze raz, poczem legł nieżywy, a wpadając w wodę został przez jej prąd porwany.

Posłałem natychmiast jednego człowieka po łodzie, sznury i topory dla złapania uchodzącej zdobyczy, a sam dałem ognia mierząc w łopatkę trzeciego słonia. Zamiarem moim było korzystać z nadarzającej mi się pięknej sposobności strzelania do kolejno ukazujących mi się tułowów słoni, ale niestety nie miałem już amunicji.

Służący mój Suleiman, który ze mną przybył z Aleksandrji, był najpoczciwszym człowiekiem, ale miał tak nieszczęśliwe nerwowe usposobienie, że w nagłych wypadkach zawsze tracił głowę. Klimat przytem niezdrowy, podczas naszej podróży przez moczary Bahr Giraffe, tak zgubnie wpłynął na jego zdrowie, że najmniejszy alarm lub nagłe zdarzenie wstrząsało nim tak gwałtownie, że mu aż zęby dzwoniły. Poczciwy niezdara przyniósł mi w wielkim pośpiechu torbę zawierającą tylko kilka nabojów, zapominając o kulach i prochu, musiałem więc teraz patrzeć z założonemi rękoma jak słonie w trudnej pracy około wdrapywania się na ląd jeden po drugim odsłaniały mi swoje kolosalne łopatki.

Stado dostawszy się na wyspę, czas jakiś odpoczęło, zanim zdołało rozpocząć dalszą podróż przez drugie ramię rzeki dzielące je od stałego lądu. Na nieszczęście łodzie wszystkie podążyły za dwoma przez prąd wody unoszonemi słoniami, nie mieliśmy więc czem dostać się na wyspę, a okrętem nie można było przepłynąć kanału dla licznych skał podwodnych. Wziąłem się zatem do różnych prób, i tak posłałem im rakietę, lecz ta drasnąwszy tył słonia zachęciła go tylko do szybszego biegu, poczem skierowawszy armatę daliśmy kilka strzałów, lecz i te okazały się bezskuteczne, kule bowiem przenosiły rozpękując się znacznie dalej. Radzi nie radzi, musieliśmy więc pożegnać myśl ubicia jeszcze jednego słonia.

Ciała dwóch ubitych odpłynęły dwie mile zanim je zdołano uchwycić. Właściwy ciężar słonia różni się znacznie od ciężkości hipopotama; ten ostatni zanurza się bezzwłocznie po zabiciu, a ciało dopiero po dwóch godzinach, gdy gaz rozszerzy żołądek, wypływa na wierzch; słonie zaś pozostają na powierzchni zaraz po ubiciu i mogą nawet unieść ciężar jednej lub dwóch osób; pochodzi to ztąd, że szkielet słonia jest większej objętości i wydrążenia, niżeli hipopotama, którego klocowata masa cielska pokryta grubą skórą i znacznej wagi czaszka przewyższają ciężkość wody. (C. d. n.)

LAMPA HERO.

(La lampe d' Héro)

naśladowane

z pani

LUDWIKI ACKERMANN.

Kiedy z kochanką Leander śmiały
Na czułe dążąc spotkanie,
Z nad Helespontem sterczącej skały
W morskie się ciskał otchłanie —

Hero mu z brzegu lampy promykiem,
Co gwiazdką w nocnej lśnił dobie,
I przytłumionym trwogi wykrzykiem
Drogę znaczyła ku sobie.

I choć toń czasem burzą się wzdyma,
Pewny, iż luba trud spłaci,
Światełko lampy mierząc oczyma
Pływak nasz serca nie traci.

Póki to światło, gwiazdka przewodnia,
W mglistej połyska oddali,
Dopóty burzy wyć choćby do dnia,
Choć do dnia piętrzyć się fali.

Jako z młodzianem greckim, przed laty,
Tak z każdym pono tu bywa,
Każdy, by zerwać marzeń swych kwiaty,
Jakiś Helespont przepływa.

Każdemu w nocy, w śród burz żywota,
Drogę przez morskie obszary
Wytyka jakaś gwiazdeczka złota:
Gwiazdka miłości i wiary.

Póki ją pływak widzi zdaleka,
Póki w jej ufa miganie,
Póty na walkę, na trud co czeka,
I sił i serca mu stanie.

Póty go zwątpień nie połkną fale,
Po nad dni życia żeglugą,
O lampo Hery! O ideale!
Świeć nam wciąż jeszcze! świeć długo!

Paryż d. 18. czerwca 1875 r.

Naśladował

J. S. Chamiec.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

ROZDZIAŁ II.

Trudno byłoby powiedzieć dokładnie, dla czego pani Helena w głębi swojej duszy bała się męża — ona sama przynajmniej nie zdawała sobie sprawy z tego uczucia. Nie było człowieka łagodniejszego w obejściu, wyrozumialszego, mniej skłonnego do gwałtownych wybuchów gniewu lub do żywienia długiej i trwałej niechęci ku komukolwiek, jak Tadeusz. Trzymał on się wiernie i stale zasady, że należy brać ludzi takimi, jakimi są, i kochać ich, a przynajmniej znosić, nie tylko wraz z ich zaletami, ale także wraz z ich wadami. Czy pani Helena nie dowierzała temu, czy mniemała, że uda jej się zawsze ukryć przed jego okiem pewne ułomności moralne, które mieliśmy sposobność poznać, dość, że drżała na myśl odkrycia nie tylko dzisiejszych, ale i najdawniejszych swoich tajemnic. Pochodziło to może ztąd, iż wpierwszych latach pożycia małżeńskiego roskoszowała niezmiernie nietylko w pozycji socjalnej, jaką zajęła, ale także i w tej, jaką sobie, swojem zdaniem, wyrobiła wobec męża. W pamiętniku jej spotykamy się bardzo często z wysokiem wyobrażeniem, jakie miała o szacunku, którym Tadeusz przejętym być miał dla niej. Była to sroga pomyłka: Tadeusz traktował ją bowiem poniekąd, jak postępowi psychjatrowie traktują obłąkanych, których mają nadzieję wyleczyć— rozmawiają z nimi, jak z ludźmi używającymi pełnego rozumu. Szacunek był ingredjencją, która w najsłabszej dawce wchodziła w skład uczuć Tadeusza ku żonie, ale afektował go w nieźle obmyślanym celu obudzenia w niej poczucia godności własnej. Udało się to — prawie. Po dwóch latach małżeństwa, pani Helena miała się za osobę, która sobie nie ma nic do wyrzucenia, a po sześciu latach rozpamiętywań nad teorją miłości, wyłuszczoną w książce pani Sand, i zastosowania tej teorji do siebie i do Alfreda Zgorzelskiego, szacunek jej dla siebie samej nie zmniejszył się wcale, owszem, zwiększył się może, dzięki przeświadczeniu o rozmaitych czynach pełnych poświęcenia, które spełniła i spełniała ciągle. Nie był to już nawet szacunek, było to uwielbienie dla siebie, jako dla ofiary o sercu przebitem, dźwigającej codzienne jarzmo nienawistnego obowiązku.

Ściśle rzecz biorąc, nie znaleźlibyśmy w pamiętniku pani Heleny dowodów, że jarzmo to było bardzo ciężkiem. Różnica wieku między nią a mężem wynosiła lat dwanaście, co nie jest rzeczą niezwykłą w dobrze dobranych małżeństwach. Tadeusz był w pełni siły i zdrowia, i przyznawała sama, jakeśmy widzieli, *qu'il n'était pas mal.* Nie był ani tetrykiem, ani zbyt zawziętym domatorem, owszem, ile razy żona zapragnęła użyć świata, jego blasków i rozrywek, z młodzieńczą prawie ochotą przystawał na wszystko i brał udział we wszystkiem. Całem nieszczęściem było, że według pani Sand *„l'amour est plus grand dans sa cause que dans son objet."*

Znajdujemy ślady, że pani Helena walczyła z sobą, a nie czując się dość silną do walki z ową „wielką pobudką," szukała sprzymierzeńca w konfesjonale. Przyjechał na „misję" w okolicę Rymiszowa młody jezuita z Poznańskiego, który nosił niemieckie nazwisko Kriechewitz, i był poprawną edycją ks. Stodolskiego. Pani Helena żartem powiedziała mężowi, że musi się przekonać, czyli też prawdą jest, co mówią o przewrotnej moralności zakonu Lojoli, i ksiądz Chyżycki, aczkolwiek niechętnie, musiał pewnego dnia sprowadzić księdza Kriechewitz ze mszą do Rymiszowa. Była to właśnie epoka, w czasie której wyrazy „ideal" i „poświęcenie" częściej niż kiedykolwiek wpisywane były w pamiętnik pani Heleny.

Szanowny czytelnik, a więcej jeszcze szanowna czytelniczka domyślą się zapewne, że kiedy

penitentka otworzyła swoje serce lekarzowi duszy, i wskazała mu rozterkę między obowiązkiem a uczuciem, w której się znajdowała, spowiednik zapytał ją: ile ma lat, i co ma do zarzucenia swemu mężowi? Lat mam trzydzieści sześć, a mężowi zarzucić mam to, że nie jest moim ideałem. Ideałem moim jest człowiek nikczemny ale piękny jak Adonis, którego kocham tak, jak Lucrezia Floriani kochała Tealda Soavi. Duszo pobożna, odparł na to strofując ją srodze spowiednik, jeżeli się ma męża, któremu się nie ma nic do zarzucenia, i jeżeli się ma lat trzydzieści sześć, ma się to, czego można wymagać, i nie powinno się mieć ideałów. Ideały miewają młode dziewczęta, niezdolne do refleksji, nie znające świata i ludzi. To, co ty, duszo pobożna, nazywasz ideałem, nie jest nim, bo znasz go na wskroś i wiesz, że nie ma żadnej wartości. Jest to więc tylko kaprys, zachcenie chorobliwe i zdrożne, które sobie możesz i musisz wybić z głowy, duszo pobożna, jeżeli nie chcesz być potępioną. Okłamujesz się, jeżeli mniemasz, że kochasz tego człowieka, którego nazwałaś pięknym nikczemnikiem. Wyuzdana wola ludzka nie jest miłością; gdybyśmy jej nie trzymali w karbach, rozprzęgłaby się rodzina, rozprzęgłoby się społeczeństwo. Jako stojący na straży tych świętych instytucyj, mówię ci: idź, wstydź się, żałuj, a gdy już śladu winy nie będzie w twojem sercu, lub raczej, w twojej głowie, gdy sobie z niej wybijesz ten kaprys, przyjdź do mnie, a powiem ci wówczas dopiero w imieniu Boga, że grzech jest ci odpuszczonym.

Ale pocóż mamy domyślać się mowy spowiednika, którejśmy nie słyszeli, i którą ponoś mylnie odtwarzamy, skoro mamy jej treść w zapiskach pani Heleny? Oto czytamy:

„Ten ksiądz ma umysł prawdziwie wyższy, i zna serce ludzkie do jego głębi. Jak on mię pocieszył i wzmocnił na duchu! Miłością, mówił mi, zgrzeszyć nie można, jest to uczucie święte i ma boskie źródło, powinno tylko prowadzić także do Boga. Ach, żałuję, że nie potrafię powtórzyć, jego słów, jak to można i należy uświęcić każde uczucie ziemskie, odnosząc je do tej wyższej miłości, boskiej. Lepiej spamiętałam to, co mówił o ideałach, i o zamiłowaniu w pięknych formach. Jaka to słuszna uwaga, że kościół daje nam sam przykład w tej mierze, bo np. są na świecie kobiety anielskie, i wzorowe matki, ale jeżeli nie są piękne, nie bierze się z nich wzoru, gdy się chce przedstawić matkę Zbawiciela, szuka się przeciwnie wzorów pięknych. Jeżeli więc Fornarina może mi przedstawiać Madonnę, to postać mężczyzny, która ma dla mnie pewien urok, przedstawia mi niejako obraz tego wszystkiego, co jest kochania godnem. Klękam przed Madonną, a ten obraz kocham, choć wiem że tamta jest portretem światowej dziewczyny, malowanym na płótnie, a ten — nie jest aniołem....“

„Kazał mi cierpieć i poświęcić moje cierpienie Bogu. Zakazał mi oszukiwać męża, ale nie zakazał mi kochać, polecił mi tylko modlić się, bo modlitwa jest bronią przeciw pokusom światowym. „Idź córko, odpuszczone ci są twoje winy“ — powiedział mi. Ach, religija jest w istocie jedyną rzeczą, która nas nigdy nie opuszcza i nie odpycha, która od nas nie wymaga więcej, niż wypełnić możemy. Taka religija, jaką ja pojmuję, jaką wykłada ks. Kriechewitz, a oczywiście nie te dzikie i ponure wywody naszego grubego proboszcza, który straszy chłopów z ambony, że absolucja może im się nie przydać na nic, i że człowiek tylko sam może wiedzieć, czuć, lub domniemywać się, czy mu Bóg odpuścił.“

Nie ma wzmianki w pamiętniku, czy pan Tadeusz pytał żonę, jak jej się podobała spowiedź u ks. jezuity — nie ma więc także relacji, którą otrzymał. Ostatnia kartka, którą podpatrzymy w sekretarzyku pani Zameckiej, mieści zaledwie tych kilka słów:

„Jeżeli ta dziewczyna, którą sprowadza Tadeusz, jest.....“ Autorka nie miała czasu, czy nie chciała powierzyć reszty swojej myśli papierowi. I teraz, siadłszy przy sekretarzyku, nie kontynuowała dalej pamiętnika. Skreśliła tylko na prędce bilet, z którym za chwilę kozak Dubyna popędził na koniu do Kruchówki. W parę godzin później, ku lasowi ciągnącemu się w tej stronie, widzieć można było pędzącą na skarogniadym koniu amazonkę, czarno ubraną. Dubyna musiał się zmęczyć jazdą, a pani, nie lubiła mitrężyć ludzi, kazała mu zostać w domu wyjątkowo wyjechała sama na spacer. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Wieczne Śniegi.

(Ciąg dalszy.)

Pierwej utrzymywano, że granica wiecznego śniegu, ciągnąc się wzdłuż grzbietu wysokich gór, zniżając się coraz bardziej, schodzi się nareszcie z powierzchnią morza. W ten sposób np. w Nowoj Zemli granica wiecznego śniegu miała leżeć niżej zwykłej powłoki śniegu pokrywającego równinę. Słońce jednak ma w tej okolicy jeszcze tyle siły, że topi śnieg zupełnie na równinach, a w lecie w Nowoj Zemli śnieg można widzieć dopiero w wysokości 3000 stóp. A przecież na wyspie tej jest najzimniejsze lato, jakie w ogóle na całej ziemi zaobserwowano. Przeciętna temperatura wynosi tylko $2^1/_2{}^0$ C.

Tak samo rzecz się ma w Grenlandji i Spitzbergen. Na wybrzeżu wschodniem Grönlandji, która z powodu lodów jest prawie niedostępną, znaleźli członkowie niemieckiej wyprawy podbiegunowej, rozległe łąki pokryte bujną trawą, po nad którémi latały motyle i chrząszcze i pasły się na nich trzody reniferów. Flora Spitzbergu liczy 93 rodzajów roślin kwitnących, z których 69 znachodzi się w Skandynawji. W korzystnie położonych miejscowościach, 30 rodzajów kwitnących roślin wznosi się od 600 do 1000 stóp nad powierzchnią morza; w jednem nawet miejscu znachodzi się w wysokości 8000 stóp bogatą i silną roślinność. Zjawisko to wytłumaczyć należy wpływem Golfstromu na wyspę. Ciepły ten prąd nietylko przechodzi koło strony zachodniej wyspy, ale dotyka także i wschodniego wybrzeża, jakkolwiek nie w ciągu całego roku. On to łagodzi temperaturę wyspy. Szwedzki botanik Malmgreen widział częstokroć ku swojemu zdziwieniu bezpośrednio po nad nagiemi skałami rosnące bujne roślinne oazy. Z zielonego kobierca mchu podnosiły złote główki jaskry wysokie na stopę: to jest sięgały mu do kolan, a inne rośliny były wyższe niż w Szwecji. Miejsca takie są zasłonięte przed wiatrem skałami, a gniazda ptasie położone wyżej dostarczają im gnoju. Oprócz tego natura w troskliwości swojej uczyniła te rośliny, tak samo, jak we florze alpejskiej, wieloletniemi. Gdyby te rośliny były jednorocznemi, jużby wegetacja ta była dawno wymarła, ponieważ bardzo często lato jest tak zimne, że rośliny te nie mogą okwitnąć i wydać nasienia. W ten sposób byłoby już po wegetacji. Ale korzenie roślin wieloletnich przetrwają zimę i w następnym roku są zdolne do wydania nasienia.

Granica wiecznego śniegu jest dla nauki tem bardziej ważną, ponieważ jest ona zarazem granicą organicznego życia. Po za nią nie może istnieć żadne zwierzę, ani roślina, tylko małe, mikroskopijne żyjątka i to bardzo rzadko znachodzimy w tych niegościnnych okolicach. Z zwierząt kręgowych przekraczają tę granicę tylko ptaki drapieżne i czasami zwierzyna umykająca przed łowcem, ale tylko na krótki czas. Czasami mimowoli zaniesione wiatrem zapędzają się po za tę granicę małe ptaszki i owady, ale ulegają tam natychmiastowej śmierci.

Nie trzeba sobie przedstawiać, że granicę wiecznego śniegu można oznaczyć linją, tak samo i zmniejszanie się wysokości od równika ku biegunom, w których granica ta leży; często jest ona nieregularna i przerywana. Nawet w miejscach położonych pod jednym i tym samym stopniem szerokości natrafiamy na bardzo znaczne różnice. Najciekawsze zboczenie przedstawiają góry Himalaja. Jakkolwiek leżą między 27 a 37^0 szerokości, a więc dosyć są odległe od równika, tak samo w nich, jak i w połączonych z niemi górami Kuen-Luen granica wiecznego śniegu dosięga najznaczniejszej wysokości. Najdziwniejszem jednak jest to, że granica śniegu leży na południowym stoku tych gór o 3420 stóp niżej, aniżeli na północnym. Zagadkę tę rozwiążemy z łatwością skoro się zastanowimy nad położeniem tych gór. Strona południowa jest obróconą ku morzu i zniża się w terasach prawie aż do jego powierzchni, podczas gdy stok północny przytyka do wyżyny Tybetańskiej, która jest bardzo rozległą. Wiatry wiejące z morza nasycone są silnie parą wodną: para wodna zawiana do pewnej wysokości ziębnieje i spada gęstym śniegiem na góry. Na przeciwnej stronie grzbietu gór spada daleko mniej śniegu, ponieważ powietrze nie jest tak obciążone parą wodną. Wiatry, które z tej strony dmą na góry, przechodzić muszą przez rozległy ląd stały, nie miały więc sposobności nabrać w siebie wilgoci, a jeśli miały, mogły się jej łatwo pozbyć w formie deszczu podczas swej podróży. Słowem na stoku północnym panuje klimat kontynentalny, a na przeciwległym morski. W pierwszym są zmiany temperatury daleko większe, a więc i ciepło lata daleko znaczniejsze, w skutek czego w lecie daleko więcej topnieje śniegu. Dodać jeszcze należy, że powietrze jest więcej suche, a więc zdolniejsze do przyjmowania w siebie wilgoci. Wszystko to ułatwia niezmiernie topnienie śniegu. Przecież i u nas widzimy, że śnieg pod wiatrem wschodnim, który musi przebiegać szerokie przestrzenie lądu, prędko znika, chociażby nawet temperatura nie była dość wysoką, aby mogła spowodować tajenie.

W ogóle więc linja śnieżna pod równemi stopniami szerokości w środku kontynentu leży wyżej w krajach, gdzie panuje klimat lądowy o gorących latach a mroźnych zimach, aniżeli gdzie góry znajdują się na wyspach, albo blisko morza. W górach Pic na Agorach i w Pyrenejach linja śnieżna leży niżej niżby z położenia ich wnioskować można, podczas gdy na Kaukazie musimy jej stosunkowo wysoko szukać. Do Europy przychodzi wilgotne powietrze z Zachodu przez morze Atlantyckie, gdzie się parą wodną

nasyca; im dalej posuwa się to powietrze przez Europę ku Wschodowi, tem więcej traci na wilgoci i staje się suchszem; a jeszcze więcej we wschodniej Azji.

Jeżeli wiatr pochodzący z Zachodu natrafi w swoim biegu na pasmo gór ciągnące się z południa na północ, powietrze zetknąwszy się z zimnem panującem w górach, traci prawie wszystką wilgoć na Zachodniej stronie gór i dostaje się na wschodnią stronę stosunkowo suche. Jak wiadomo Norwegja odznacza się mokrym klimatem, podczas gdy Szwecja posiada klimat suchy, z czego wypływa, że góry jednakowej wysokości w obu krajach okryte są różną ilością śniegu. Temperatura letnia spełnia swoje zadanie topienia śniegu daleko skuteczniej w Szwecji niż w Norwegji, t. j. linja śnieżna leży wyżej w pierwszym, niż drugim kraju, chociaż oba leżą w jednakiej odległości od równika.

Ważną rolę odgrywają tutaj stromość i figuracja gór. Jasnem jest, że na stromych ścianach gór śnieg daleko trudniej się może utrzymać, niż na lekkich pochyłościach lub na poziomych płaszczyznach. W pierwszym wypadku wystarcza nawet mały impuls, aby ogromne masy śniegu w postaci lawin sprowadzić na dół, gdzie szybko topnieją. W ten sposób stoki gór wznoszące się nawet po nad linją śnieżną pozbywają się powłoki śniegowej, a promienie słoneczne nie potrzebują w lecie nadaremnie pracować nad topieniem śniegu; wywołują one wtedy wegetację w miejscach otoczonych dokoła lodem.

(D. n.)

STANOWISKO FILOZOFJI

KAROLA LIBELTA,

i stosunek jego do innych współczesnych filozofów polskich.

Napisał

DR. A. MOLICKI.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli aż do najnowszych czasów żaden filozof nie śmiał ruszyć się na krok, zanim nie wynalazł jakiegoś nowego stanowiska, jakiejś zasady, na którejby oparł cały swój system — to w dzisiejszej szkole pozytywistów tego już nie widzimy. Kiedy owe zasady miały być kamieniem filozoficznym na wszystko, okazywało się zwykle w końcu, że są one albo czczą abstrakcją bez żadnej rzeczywistej wartości, albo tylko niedostatecznym środkiem poznania. Tak naprzykład J. B. Fichte nie mało się namordował, zanim doszedł do swojej „jaźni“ — Schelling — do „absolutu“ Hegel—do „idei bezwzględnej“, a przecież okazało się w końcu, iż żadna z tych wielkich a okrzyczanych zasad nie doprowadziła do celu. Trentowski chociaż wziął gotowe niemieckie pojęcia: „Verstand“ i „Vernunft“, i na nich się oparł, przecież nie mało sobie głowy nałamał, zanim dla ostatniego znalazł myśl w rodzinnej mowie, i wziął go za fundament do swojej filozofji. Tak samo namozolił się i Libelt, zanim uznał „wyobraźnię“ zasadą całego poznania. Podobnie Gołuchowski nim w „miłości“ znalazł początek i koniec wszystkiego. A przecież to wszystko nie wytrzymało krytyki; cel poznania nie został osiągnięty. Odtąd więc najnowsi myśliciele weszli na inną drogę.

Kiedy dotychczasowi filozofowie kłócili się tylko o to, czy rozumowi czy zmysłom dać pierwszeństwo w poznaniu, i na tych bezpłodnych sporach tracili czas i zaniedbywali właściwy a wdzięczniejszy przedmiot — najnowsi filozofowie uznają zmysły i rozum za najzwyklejsze narzędzia badania; nie widzą najmniejszej potrzeby polemizowania o to, nad czem ich poprzednicy stosy popisali; nie tylko że nie znajdują żadnej korzyści w uprzedniem dowodzeniu ostatecznej przyczyny wszech rzeczy i rozbiorze pojęć metafizycznych, ale nadto dziwactwem być mienią dowodzenie własnego bytu i bytu świata zewnętrznego. Słowem, najnowsi filozofowie przyjmują bez sporu zmysły i rozum jako środki poznania, a cel swój widzą w badaniu bezpośredniej rzeczywistości. Jest to szkoła warszawskich pozytywistów. „Rozumieć to, co zmierzyć się daje czy to zmysłem, czy umysłem — mówi jeden z nich— w tem cała nasza duma. Zastosować w życiu prawdy, które temi środkami zdobędziemy — w tem cała nasza usilność. Jednem słowem: rozumieć, co człowiekowi rozumieć wolno, — i żyć tak, jak żyć przystoi człowiekowi — oto nasz cel... Cel filozofji jest więc podwójny: teoretyczny i praktyczny. Z jednej strony chcemy poznawać prawdę, z drugiej stosować poznanie nasze do życia*)“

Jak widzimy, są tedy tak skromni, że nawet nie zakładają sobie od razu poznania prawdy, ale tylko poznawać ją chcą po trochu. Jakaż to więc różnica od Trentowskiego, Libelta i innych, gdzie z góry postawione pierwiastki miały być, że tak powiem, nieomylną kładką, w którą tylko trzeba było wierzyć, aby się dostać do świątyni Minerwy! O ile też stosunek ich stanowiska względem stanowiska Libelta jest bardzo luźny, o tyle postęp w nauce jest bardzo wielki.

Stanowisko Libelta w odniesieniu do Struvego przedstawia się już więcej zbliżonem, acz i tu różnica jest wielka. Kiedy bowiem Libelt opiera się tylko na jednej z naszych władz poznania, tj. na wyobraźni, będącej jedną z trzech ogólnych potęg kształtowania czyli umniczych**) (potęga obraźni zostająca w Bogu, potęga wyobraźni będąca w człowieku, i potęga przeobraźni będąca w naturze), to według dra Struve zasada filozofji musi odpowiadać wszechstronnym potrzebom natury ludzkiej, a więc musi też spoczywać na wszystkich głównych jej władzach. Gdy więc zasada Libelta uwzględnia tylko jedną władzę, t. j. wyobraźnię, zasada Struvego uwzględnia prócz rozumu wolę i uczucie, i tem samem staje się zasadą powszechniejszą czyli stanowiskiem wszechstronniejszem***). Takowe nazwano idealnorealnem, jako uwzględniające tak idealną, duchową — jak realną, fizyczną stronę człowieka.

Z tego, cośmy powyżej mówili o stanowisku filozofji Libelta, znamy je tak, jak je dotychczas traktowano — jak je pojął Krupiński, Tyszyński, Struve i inni. Pozwolimy jednak sobie zrobić jeszcze niektóre co do tego uwagi, które nam — o ile mi się zdaje — lepiej wyjaśnią istotne stanowisko Libelta, i dadzą je poznać tak, jakiem on je chciał mieć w rzeczywistości.

Czytając „System Umnictwa“ wydaje się na pozór, jakoby między stanowiskiem „filozofji umysłowej,“ a pojęciami zawartemi w „Filozofji i Krytyce“ nie było żadnego związku. Kiedy w tej ostatniej były pomysły do filozofji słowiańskiej, a w szczególności polskiej, któreśmy w powyższych celach poznali, „filozofja umysłowa“ daje nam systematyczny rozwój filozoficznej idei Libelta, oparty w teoretycznych kwestjach poznania na „Myślini“ Trentowskiego, a w kwestjach szczegółowych samej rzeczy nie przedstawiający nic nadzwyczajnego: pomysły w małej części autora, w większej przeszłości. Forma zaś sama, jak powiedziałem, zapożyczona od Trentowskiego, acz nie bez pewnego własnego kolorytu. Otóż chodzi nam o to, jakiego rodzaju jest ten koloryt, i czy ma jakie szczególne znaczenie w całości systematu?

Na pierwszy rzut oka, jak powiedziałem, „System umnictwa czyli filozofji umysłowej,“ stoi zupełnie luźno względem „Filozofji i Krytyki.“ Rozważywszy jednak bliżej, wcale tak nie jest, a przynajmniej nie chciał Libelt, aby tak być miało. Pomysły filozoficzne i krytyczne stoją w najściślejszym związku z „Systemem Umnictwa,“ który — mojem zdaniem — jest niczem innem, lub mówiąc z tendencją Libelta, miał być niczem innem, jak ową głośno zapowiedzianą wielką filozofją słowiańską, filozofją polską, filozofją czynu etc. (zob. wyżej str. 45—46). Że na tem się nasi krytycy i filozofowie nie poznali, to najlepszy dowód w tem, że wcale o tem nie wspominają, a to co mówią, właśnie wykazuje, że nie zrozumieli Libelta takim, jakim on chciał się przedstawić. Tak np. Krupiński powiada, że „Filozofja i Krytyka“ ma stanowić niejako wstęp do „Systemu Umnictwa*).“ Tymczasem mojem zdaniem, które później postaram się udowodnić, „Filozofja i Krytyka“ nie niejako, ale jest istotnym wstępem, pod względem wewnętrznej treści i tendencji ściśle spojonym z „Systemem Umnictwa.“

(C. d. n.)

*) Ochorowicz: „Wstęp i pogląd ogólny na filoz. pozyt.“ str. 64.

**) Libelt: „System Umnictwa“ 1857. T. I. str. 39.

***) Struve: „Wykład systematyczny logiki.“ Tom I. str. 118.

*) Zobacz „Dodatek o filozofji w Polsce“ przy tłum. „Historji filozofji“ Schweglera str. 444.

Z życia Rembrandta.

W niewielkiem oddaleniu od Leodyum pokazują dziś jeszcze młyn, do którego przybudowany jest niepokaźny dom mieszkalny. Na cegle znajdującej się w rogu dużego kominka, wewnątrz tego domu, wyczytać można datę 1550. Tutaj, w roku 1606 urodził się Paweł Rembrandt. Dzieckiem objawiał on umysł nieugięty, a raczej upor którego się ojcu jego przełamać nie udało. Ten ostatni kazał synowi pracować w młynie, w tej myśli, iż po śmierci zostawi mu to przedsiębiorstwo do prowadzenia. Chłopak atoli tak niechętnie brał się do tego zajęcia, że ojciec przeznaczył go później do stanu duchownego, i posłał go do szkół do Leodyum. Paweł miał wówczas lat piętnaście, był zdrów, silny i żywego usposobienia, i podzielał z rówieśnikami swoimi podobnej kompleksji fizycznej wrodzony i nieprzeparty wstręt do gramatyki łacińskiej. Wstręt ten okazał się silniejszym od cierpliwości profesora, który wypędził go w końcu ze szkoły. Po powrocie mimowolnym miłego gagatka, ojciec obił go okropnie, a Paweł nazajutrz uciekł z domu do Leodyum, nie wiedząc zresztą, co tam pocznie. Na szczęście swoje trafił do domu poczciwego artysty, Van Zwaanenberg, który się znał ze starym Rembrandtem.

*

— Powiedz mi, Pawle, rzekł mu ten przyjaciel, co ty zamierzasz począć w świecie, jeżeli nie chcesz być ani księdzem, ani młynarzem? Są to przecież bardzo zaszczytne i pożyteczne zawody, jeden z nich dostarcza pokarmu duszy, a drugi ciału!

— Być może, odparł chłopak, ale żadna z tych profesji nie podoba mi się ani trochę. Ażeby zostać księdzem, trzeba się uczyć łaciny; ażeby zostać młynarzem, trzeba być bitym, a jedno i drugie zarówno nie zgadza się z moim gustem. Powiedz mi pan, z czego pan żyjesz?

— Wiesz przecież, że jestem malarzem.

— To i ja także chcę być malarzem. Mój kochany panie Zwaanenberg, pójdź pan jutro do mego ojca i powiedz mu pan, że będę malarzem, a wyświadczysz mi pan wielką przysługę.

Van Zwaanenberg w dobroci swojego serca podjął się tej missji, i zawiadomił młynarza o postanowieniu jego syna.

— Chcę tylko wiedzieć, rzekł Mynheer Rembrandt, czy zarobi on na chleb malarstwem?

— O, z pewnością, może nawet zrobić majątek.

— Jeżeli tak, to zezwalam.

W ten sposób Paweł został uczniem Zwaanenberga, i robił szybkie postępy w elementarnych wiadomościach nowego swojego zawodu. Wkrótce poczęła go trawić gorączka twórczości i nim jeszcze Zwaanenberg zdołał wyrobić w nim pojęcie o czystości stylu, młody Rembrandt wprawił go w zdumienie przedwczesnym sprytem w grupowaniu figur i w wywołaniu cudownych efektów świateł i cieniów. Pierwsze lekcje z nauki perspektywy znudziły go tak, że począł myśleć o krótszej jakiej metodzie, i wynalazł sobie naukę perspektywy sam dla siebie.

Jeden z najwcześniejszych jego szkiców wpadł w ręce pewnego obywatela w Leodyum, który się znał na malarstwie. Pomimo widocznych błędów, jakie raziły w tej próbie młodocianego talentu, zastanowiła ona starego Holendra. Posłał po Pawła i zaproponował mu, że mu da list rekomendacyjny do pewnego sławnego malarza w Amsterdamie, pod którego kierownictwem skorzysta nierównie więcej niż u obecnego swojego nauczyciela.

Rembrandt przyjął tę propozycję i następnie przez cały rok pracował ciężko i wytrwale. Tymczasem finanse jego wyczerpały się do dna, a stary, który znajdował, że zyski z malarstwa spaźniają się bardzo, odmawiał pieniędzy, bo jak twierdził, nie chciał synowi dawać zachęty do próżniactwa. Paweł nie upadł pomimo to na duchu. Nie miał on usposobienia miłego ani budzącego szacunek, ale sam miał niezłomne i słuszne przekonanie o potędze swojego talentu, i postanowił bez obcej pomocy dorobić się majątku i sławy. I tak, gdy inni jego koledzy, ukończywszy początkowe studja, udawali się do Rzymu, do Bononji i do Florencji, Paweł — wrócił do młyna ojcowskiego, mówiąc, że woli zatrzymać swój własny styl, niż stać się naśladowcą choćby największych mistrzów. Powrót jego z początku podobny był do powrotu marnotrawnego syna, albowiem Mynheer wyobrażał sobie, że Paweł porzuci niewdzięczne „smarowanie“ i weźmie się teraz do pytla. Rozczarowanie jego było wielkiem i gorzkiem, gdy syn zamiast zajmować się workami z mąką, złożonemi na strychu, powyrzucał je ztamtąd i na ich miejscu urządził sobie pracownię, oświetloną wąskiem okienkiem w dachu.

W tej pracowni, Rembrandt wykończył pierwszy swój obraz. Był to widok ojcowskiego młyna. Figurował na nim stary Rembrandt, z latarnią w ręku, dający rozkazy ludziom, układającym wory w ciemnych zakątkach komory. Jeden promień światła padał na świeżą, pulchną postać matki artysty, stojącej na schodach. Obraz ten nie istnieje już, opisuje go tylko Decamps. Rembrandt zaniósł swoje płótno do Haagi i sprzedał je za 100 florenów. Ażeby prędzej wrócić do domu, najął miejsce w dyliżansie. Gdy podróżni wysiedli po drodze na objad, Rembrandt z obawy, aby nie zgubił pieniędzy, został w powozie. Chłopak stajenny, przyniósłszy koniom obrok, zapomniał je wyprządz, Rembrandtowi tymczasem sprzykrzyło się czekać na towarzyszów podróży, zaciął więc konie a te ruszyły wolnym truchtem do Leodyum i stanęły tam przed zwykłym swoim zajazdem. Wówczas artysta nasz wysiadł, i udał się do młyna ze swojemi florenami.

Ojcie ucieszył się mocno. Smarowidła, któremi pogardzał dotychczas, zaczęły przemieniać się w złoto, jak wyroby pytla, i Mynheer puszczając wodze swojej wyobraźni, pocieszał się, że teraz i on i jego stara szkapa będą mogli odpocząć po pracy, i żyć wygodnie aż do śmierci, podczas gdy Paweł będzie malował i utrzyma całą rodzinę.

Były to chałupki na lodzie, które Paweł zburzył natychmiast. Sumę którą otrzymał w Haadze, uważał tylko za przypadkowy uśmiech losu.

— Jeżeli chcecie, abym zrobił majątek, rzekł rodzicom, dajcie mi jeszcze drugich sto florenów, i pozwólcie mi wrócić do Amsterdamu, gdzie muszę jeszcze uczyć się i pracować długo i ciężko.

Mynheer skrobał się w głowę i powoli, niechętnie, wydobywał ze skrzynki jeden floren po drugim, póki się nie rozstał z całą żądaną sumą. Paweł zabrał pieniądze, nie wiele za nie okazując wdzięczności, i wrócił do Amsterdamu. Tam zasłynął wkrótce jako największy i najoryginalniejszy z żyjących artystów. Miał mnóstwo naśladowców, ale wszystkim powinęła się noga gdy próbowali odtwarzać jego niezrównane efekta świateł i cieniów. Rembrandt tymczasem wyżej nad tę sławę cenił złoto, które płynęło zewsząd do jego kieszeni. Mięszając na palecie farby, które na płótnie zajaśnieć miały żywem, prawdziwem światłem, myślał ciągle tylko o swoich brudnych kufrach.

Gdy dochód jego roczny wynosił już około 20.000 złr. dzisiejszych, nie pozwalał nigdy, ażeby ajent, który zbierał jego renty na prowincji, przynosił mu je do Amsterdamu — w takim razie bowiem musiałby go był zaprosić na objad. Wolał skorzystać z pierwszego lepszego pogodnego dnia, i pójść na wieś do swego ajenta. Tym sposobem nie tylko nie potrzebował go prosić na objad, ale sam jadł u niego.

Tak rafinowane skąpstwo było nieraz powodem, że uczniowie żartowali sobie z mistrza, ale Rembrandt był flegmatykiem i nie łatwo go to obeszło, co nie naruszało jego kieszeni.

Pewnego razu przyszedł do niego bogaty obywatel, i zapytał o cenę pewnego obrazu.

— Dwieście florenów — była odpowiedź.

— Zgoda, odparł obywatel. Zapłacę jutro, i przyszlę po obraz.

W godzinę później doręczono malarzowi list tej treści;

„Mistrzu! W nieobecności pańskiej, widziałem w pańskiej pracowni obraz, przedstawiający staruszkę robiącą masło. Jestem zachwycony tem płótnem, i jeżeli mi pan je sprzedaż za 300 florenów, chciej pan przynieść mi do domu, i być moim gościem na dzisiaj.“

(D. n.)

Pogadanki.

XXXI.

Echa lwowskiego zjazdu lekarzy i przyrodników odbrzmiewają jeszcze ciągle w dziennikach. Nawet obca prasa zwróciła na niego swoją uwagę. Między innemi wspomniała wiedeńska *Neue freie Presse* w politycznej swojej części o tym kongresie, równie jak i o zjeździe pedagogów w Stanisławowie, i to dosyć, jak na nią, przychylnie, chociaż nie bez zwykłej swojej nieznajomości tego wszystkiego, co się u nas dzieje. I tak, twierdzi ona między innemi, iż opłakane stosunki polityczne W. ks. Poznańskiego jednemu tylko uczestnikowi z tamtąd pozwoliły przybyć do Lwowa, podczas gdy było ich więcej. Dalej utrzymuje pomienione pismo, iż z powodu wyłącznie polskiej cechy, nadanej zjazdowi, „ruscy badacze przyrody“ (*die ruthenischen Naturforscher*) ostentacyjnie usunęli się od udziału. Zapewne brak miejsca i nawet materjału, jakkolwiek niewielki o tej porze roku, nie pozwoliły organowi wiedeńskiemu wymienić nazwisk tych „*ruthenische Naturforscher*,“ którzy dopuścili się tak srogiej manifestacji. Na wszelki wypadek, skoro *N. fr. Presse* powiększywszy format, zdoła spisać ich nazwiska, powinnaby im poradzić, „ażeby się nie rozchodzili,“ jak to mówią. Tym razem, nam tylko dostała się rada, ażebyśmy się przejęli większą tolerancją w kwestjach narodowych.

Cel zjazdu był naukowym, a nauka jest kosmopolityczną, to nie ulega wątpliwości. Mimo to każdy naród pielęgnuje ją w swoim języku, i od czasu do czasu rad sobie zdaje sprawę z tego, o ile przyswoił sobie skarby nauki, i o ile przyczynił się do ich pomnożenia. Z tego to powodu i w Niemczech odbywają się zjazdy lekarzy i przyrodników niemieckich, nie zaś ogólne z całego świata, i z tego powodu, zjazd we Lwowie był polskim. Znaleźli się na nim wszelako i Rusini, których ruskie mowy przyjmowane były z sympatją jednomyślną, podczas gdy nie zdarzyło się dotychczas, by na zjazdach niemieckich uczonych przemawiano w narzeczu, którem pisał Fritz Reuter i w którem Bismark rozmawiał się ze swoją mamką; gdyby zaś kto wpadł na pomysł podobny, wywołałby prawdopodobnie dwuznaczne uśmiechy, a nawet objawy niecierpliwości.

Żałować wypada, iż wszystkie pisma krajowe i poznańskie nie powtórzyły toastu Platona Kosteckiego, pod względem formy z pewnością najpiękniejszego ze wszystkich, które wygłoszono przy pożegnalnym bankiecie. Toast ten wypadł nawet lepiej od prologu, napisanego na cześć pojawienia się gości w teatrze lwowskim — jakkolwiek i tutaj udało się autorowi wywiązać szczęśliwie z trudnego dziś jeszcze zadania, jakiem jest traktowanie spraw medycyny i przyrodnictwa w mowie wiązanej. Powiadam, że zadanie to trudnem jest dzisiaj, w przyszłości bowiem, kto wie, czy poezja nie będzie brała przedmiotów do opiewania z walki umysłu ludzkiego z tajemnicami przyrody i ze zwycięstw odniesionych w tym

kierunku.*) Walki to cięższe i zwycięstwa szczytniejsze od walk pod Troją lub od zdobycia Jerozolimy — tylko smak nasz jeszcze nie odwykł od widoku tratowania trupów końmi, burzenia murów i palenia miast, i wznioślejszemi wydają nam się namiętności destrukcyjne a grzmiące, od twórczych a ślęczących. Platonowi Kosteckiemu przyznać potrzeba, że w prologu swoim nie ubliżył i dzisiejszemu smakowi, swawolny *Szczutek* wszelako nie mógł się oprzeć pokusie zestawienia komicznego dla nas kontrastu między poetyczną formą a suchym i na pozór nieestetycznym przedmiotem zjazdu. Puścił więc w świat parodję, po której przeczytaniu Platon Kostecki, lekarze i przyrodnicy musieli trzymać się za boki od śmiechu, i tylko jakiś poważny „kapłon pióra,“ a kto wie, czy nie sam arcykapłon, rzucił w „Notatkach lwowskich“ *Gazety Narodowej* wielką klątwę na *Szczutka*, i według dziennikarskich zwyczajów miejscowych, odsądził go doraźnie od uczuć polskich i od wszelkich przymiotów zacnych i godziwych, wychodzących ponad poziom Neczyporowicza, Hupały i Kolendruka. *Szczutek*, któremu przez myśl nie przeszło lekceważyć zjazdu, zamierza podobno zemścić się podaniem prosby do przyszłego zjazdu, ażeby obmyślano środki ku wytępieniu kretynizmu w prasie polskiej.

Nie chcę dochodzić, czyli gniew *Gazety* na *Szczutka* nie ma gorszych, bo subjektywnych pobudek, a mianowicie, czyli nie wywołała go obraza majestatu dyrekcji teatru, która dopuścił się Gogo w tym samym numerze, gdzie pojawiła się komiczna oda na zjazd lekarzy. Poseł Szujski, któremu nasz słownik galicyjski terminów politycznych zawdzięcza już niejeden wynalazek, rzucił niedawno od niechcenia *ἔπεα πτερόεντα* utrzymując, iż w pewnej chwili, kiedy opozycja stała się szkodliwą, a raczej, niemożebną, dwaj mężowie polityczni zajmując stanowisko odporne, „ocalili sytuację“. W lot pochwycił Gogo to wyrażenie, i wśród głębokich swoich uwag nad tem, jak nisko upadła część naszego „dobrego towarzystwa“, a raczej „towarzystwa“ *κατ᾽ ἐξοχήν* zajmując się doktorami i naturalistami — skonstatował, że p. Dobrzański „ocalił sytuację“, bo ....sprowadza Gallmeyerkę do Lwowa, a ta ma oczywiście więcej *szyku* od chirurgów, akuszerów, botaników i zoologów. Takie wprowadzenie p. Dobrzańskiego w jedną linję z dr. Ziemiałkowskim i hr. Gołuchowskim mogło być dla niego bardzo boleśnem — wszak w „Podlotku“ A. Urbańskiego p. Brzechwa na zapytanie: „Czego chcesz człowiecze?“ odpowiada z oburzeniem: „Ja nie jestem żadnym człowiekiem, mój panie, ja jestem konsyliarzem!“ — niemniej przeto pozwolę sobie niniejszem poprzeć zdanie, pośrednio w *Szczutku* wypowiedziane, że dyrekcja teatru lepiejby zrobiła, gdyby zaniechała projektu sprowadzenia panny Gallmeyer i jej towarzystwa na występy gościnne do Lwowa. Powoduję się w tej mierze nie ultra-patrjotycznemi uprzedzeniami i niechęciami, ale względem na materjalne interesa sceny polskiej. Nie podobna zaprzeczyć, że towarzystwo niemieckie przedstawi operetki i krotochwile z lepszem powodzeniem, z większym humorem, a nawet względnie, lepszym smakiem, niż to widujemy na scenie naszej, a to nie z przyczyny większej doskonałości artystów niemieckich w tym kierunku, ale z tej, iż sztuki pomienione zręczniej są tłumaczone na język niemiecki, zręczniej zastosowane, i łatwiejsze do zastosowania do ducha tego języka, czyli jednem słowem, iż łatwiej dadzą się strawić po niemiecku, niż po polsku. Porównanie więc przedstawień niemieckich z polskiemi, wypadając na niekorzyść tych ostatnich, nie podniesie ich w przyszłości bynajmniej na wyższy stopień doskonałości, i tylko odstręczy od nich tę część publiczności, nader liczną, która w teatrze szuka rozrywki ile możności bezmyślnej.

Ad vocem rozrywki tego rodzaju, zanotować tu należy zgorszenie, jakie objawia *Gazeta Lwowska* (ale w części nieurzędowej) z przyczyny, iż jeden z wydawców warszawskich zapowiedział nowe wydawnictwo zbiorowych dzieł Pawła de Kock. Już to z pewnością Paweł de Kock nie jest autorem, którego dzieła mogłyby służyć do skompletowania edukacji młodego panicza albo młodej panienki — ale wszak Metamorfozy Owidjusza, a nawet Pismo Swięte, zwłaszcza Starego Zakonu, tylko w starannie okrojonych wyciągach mogą być podawane młodemu wiekowi. Czy podobna wymagać, ażeby przy wydawaniu książek uwzględniano każdym razem pensjonaty, i ażeby broniono ludziom dorosłym niewinnej rozrywki, albo uczonym dzieła klasyczne czyniono niedostępnemi, dla tego, że młodzież może z nich dowiedzieć się tego, o czem dowie się i pomimo najsroższej cenzury? Paweł de Kock jest pisarzem swawolnym, ale nie jest niemoralnym, chociaż go *Gazeta Lwowska* nazwała Homerem gryzetek. Jest on mniej niemoralnym — od króla Salomona. Karol Brozowski przynajmniej czytał mi raz prześliczny swój, a niewydany dotychczas przekład Pieśni nad Pieśniami, dokonany wprost z oryginału hebrejskiego i wiernie jego myśl oddający, z którego wynika, iż wschodnia wyobraźnia syna Dawidowego z lubością poruszała się w sferach hyper-erotycznego zachwytu, do którego, jak świadczą Księgi Królów, cała jego rodzina objawiała nie mało skłonności. Homer gryzetek przeciwnie jest pisarzem, którego moralności dowodzi najlepiej ta okoliczność, iż z postępującem zepsuciem obyczajów znikły z Paryża owe wesołe istoty przez niego opiewane. Gryzetki Pawła de Kock kontentująca się sukienką muślinową, spacerem w niedzielę i odrobiną miłości, stała się mytem, cały ten wesoły światek, poczciwy i w swoim rodzaju wcale obyczajny, a gorszący tylko obłudników, zapadł się w przepaść, którą stworzyły pieniądze i zbytki wyrafinowane. Nie ma też między najbardziej śliskiemi utworami tego pisarza ani jednego, któryby przeprowadzał ten encję zdrożną, podczas gdy na biurkach naszych pań widujemy nieraz książki, przewrotnem rozumowaniem, przedstawianiem niepohamowanych namiętności w powabnem świetle, uniewinnianiem występku przez psychologiczne jego motywowanie, podkopujące zasady naszych obyczajów i moralności wszystkich wieków. W poprzednim numerze *Tygodnia*, w ustępie powieści p. t. Idealiści, przytoczyłem próbkę taką z książki pani Sand, a wymowniej i gruntowniej nierównie poruszył ten sam przedmiot Jan Zacharjasiewicz w ślicznej powieści swojej „Na kresach.“ Na nicby się wszelako nie przydało i tutaj, smagać dyscypliną krytyki wydawanie lub czytanie książek tego rodzaju; na książkę złą, stanowić może antydotum tylko książka dobra, a napisana z takim talentem, ażeby ją czytano równie chętnie i chętniej niż złą. Jeżeli Paweł de Kock nie daje takiego antydotum, to przynajmniej dzieła jego jako nader zajmujące i zabawne, a nieszkodliwe, stanowić mogą rodzaj konduktora, chroniącego od lektury poważnej niby a stokroć gorszej.

* * *

Na zakończenie dzisiejszej pogadanki wspomnieć muszę, że w pismie niemieckiem, o którem wspomniałem na wstępie, znalazł słuszne ocenienie Siemieńskiego przekład *Odysei* Homera. Jakiś pan W. G. (Goldbaum, jeżeli się nie mylę) napisał fejleton p. t. *Homer in Polen*. Autor, wychowany widocznie w Galicji, rozszerza się najpierw bardzo nad zaniedbaniem, w jakiem zawsze zostawała w Polsce nauka języka i znajomość świata greckiego. Zaniedbanie to skonstatowane przez historjografów naszego piśmiennictwa, i nie da się zaprzeczyć, że znano u nas klasyków greckich i Grecję jedynie za pośrednictwem łaciny. Odbiło się to i na naszym języku, który pod wpływem greczyzny nie byłby niewątpliwie zatracił pierwotnego bogactwa form i byłby nabył większej giętkości, podczas gdy pod wpływem łaciny zubożał i zesztywniał. Nie da się dalej zaprzeczyć, iż tłumaczenie Homera z łacińskich i francuskich przekładów było jedynem, jakie znano w Polsce, i że w nowszych mianowicie, ale nie najnowszych czasach, pisarze nasi polonizowali zlatynizowane postacie greckie z ujmą prawdy i piękności, i w sposób nieco komiczny — chociaż pan W. G., po bliższem zastanowieniu się i przy lepszej znajomości dawnego świata polskiego, mógłby był przyjść do przekonania, że jak wszędzie, tak i w Polsce dały się nieraz dostrzedz pewne analogje z światem heleńskim, chociaż nie co do kontuszów i konfederatek, jak się to podobało p. W. G. imputować tłumaczom polskim. Widziałem ilustracje do Odysei, rysowane przez Kossaka — znalazłem tam niezawodnie trochę za wiele polsko-szlacheckich akordów w postaciach i pejzażach, ale kto czyta Odyseję, temu n. p. w podróży Telemacha do Sparty i w jego wizytach u możnowładzców Peloponnezu nie ujdą pewne analogje z naszemi szlacheckiemi obyczajami, tak jak w Iliadzie można znaleść rysy, które powtarzają się w parę tysięcy lat pod Chocimem, albo pod Wielkiemi Łukami. Nie idzie wszakże zatem broń Boże, aby bohaterów Homera wolno było stroić w kołpaki i buty z wysokiemi cholewami, i tu potrzeba przyznać słuszność panu W. G. podczas gdy odmówić mu jej muszę jeżeli to, czego sam doświadczył w szkołach galicyjskich, kładzie na karb braku hellenistów w Polsce. Zdaje mi się nawet, że jest to *licentia poetica* ze strony pana W. G. chodził on bowiem ponoś do szkół, gdy już w Galicji nie można było uskarżać się na brak studjów greckich. Nie polski to, ale austrjacki system szkolny aż do hr. Leona Thuna zbyt mało zwracał uwagi na te studja, od r. 1849 zmieniło się to, i czy kto chciał, czy nie chciał, musiał zapoznawać się z Grekami w oryginale. Skrytykowawszy Jacka Idziego Przybylskiego, którego mu chętnie oddamy na pastwę, i który zdaje się być jedynym dawniejszym polskim tłumaczem Homera, znanym panu W. G. — poświęca on parę słów uznania Siemieńskiemu, którego nazywa prawdziwym tłumaczem „z bożej łaski.“ Nie drukowałby wszakże p. W. G. swoich artykułów w *Nowej Pressie*, gdyby nie zakończył fejletonu uwagą, iż dokładne poznanie starohelleńskiego śpiewaka wyleczy Polaków z „marzeń o swojej nieśmiertelności.“ Do tego nonsensu, i dla zwię-

*) Przedsmakiem takiej poezji przyszłości jest następujący wiersz francuski, w którym autor stawia Franklina obok Washingtona:

„Un sage auprès de lui dans le conseil prend place,
Et non moins vénéré sous d'aspects différents,
Il gouverne, il découvre: et par sa double audace
Ravit la foudre aux cieux et le sceptre aux tyrans.“

kszenia go, dodany jest na potwierdzenie niby wiersz Bogdana Zaleskiego, nazywający Homera wcieleniem myśli ludowej i zakończony twierdzeniem, iż tylko ten wieszcz, który zarówno z Homerem przejmie się duchem swojego ludu, z nim razem zapisany będzie w księdze wieczności. To, i uwolnienie się od marzeń narodowych, zestawione z sobą, przypomina przypowiastkę, którą pan W. G. musiał zapewne słyszeć w Galicji, i która wprowadza w logiczną wzajemną koneksję: gruszkę, pietruszkę, i slodycz chrzanu. „*Bisweilen schläft auch der gute — Kant*,“ panie fejletonisto, który powtarzasz ciągle wiersz o drzymaniu Homera.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

O wydaniach zbiorowych i najnowszej edycji pism Zygmunta Krasińskiego, kilka słów przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Przypatrzmy się teraz tej edycji z innej strony. W prospektach firmy nakładowej czytaliśmy niejednokrotnie, że wydanie, o którem mówimy, ma być „pierwszą zupełną edycją pism wierszem i prozą Zygmunta Krasińskiego, która zawrze utwory nie umieszczone ani w paryskiej, ani w lipskiej edycji.“ Chodzi tedy teraz o to, jak się wywiązali pp. Gubrynowicz i Schmidt ze swego przyrzeczenia.

W „Kilku słowach od Wydawców“ czytamy: „Nie oddrukowaliśmy w naszej edycji znanych (?) młodzieńczych próbek powieściowych Krasińskiego, idąc za wskazówką najznakomitszych powag w tym przedmiocie, doradzających nam, iżby nie wciągać w harmonijny cykl późniejszych, przez cały naród z jednakiem uwielbieniem przyjętych arcydzieł, pierwszych usiłowań pisarskich poety;“ a nieco wyżej znajdujemy: „Utworów, które nie były umieszczone w poprzednich edycjach a naszą objęte zostały, dostarczył nam jeden z najbliższych przyjaciół osobistych wieszcza, co jest najlepszą rękojmią ich autentyczności.“ Dobrze; ale kto był tym przyjacielem? Czy dyskrecja nie pozwalała go wymienić? a może należy upatrywać go w p. J. Amborskim lub hr. Stan. Tarnowskim?... W każdym razie wiadomość ta byłaby pożądaną dla wielbicieli Zygmunta. Powyższe doniesienie wydawców stwierdza w „Przedmowie“ swojej hr. Stanisław Tarnowski, powiadając, że „z wyjątkiem listów, na które jeszcze czas drukowania nie przyszedł, powieści z lat młodzieńczych, na których wydaniu mniej zależy i tych pism, których autor sam ogłaszać nie pozwolił, wychodzi w tej edycji wszystko, co wyszło z pod pióra Krasińskiego, w tekście najniewątpliwszej autentyczności.“

Których to pism swoich sam Krasiński ogłaszać nie pozwolił, o tem przedmowa hr. Stan. Tarnowskiego nie mówi wyraźnie. Odnosi się to na mocy przypisku autora „Przedmowy“ jedynie do dzieła „O Trójcy w Bogu, w człowieku i w historji,“ nad którem po ożenieniu swojem pracował poeta w Warszawie (podobno 1843 jeszcze, lub 1844), ale nie obejmuje zapewne „Żywota jenerała Wincentego Krasińskiego,“ ojca Zygmunta, którą to pracą z całem wytężeniem zajęty był w ostatnich chwilach swego życia, a którą doprowadził do r. 1827. Zakaz ten nie odnosi się podobno także do tych prac, nie wielkich wprawdzie, które nasz autor w dojrzalszym już wieku drukiem ogłosił, a do nich należą: a) „Kilka słów o Juljuszu Słowackim“ zamieszczone w Tygodniku literackim poznańskim z r. 1841 i b) dwie rozprawy w formie listów ogłoszone w broszurze p. n. „Lettres à M. le Comte de Montalembert et à M. de Lamartine par un gentilhomme Polonais (Paryż 1847).“

Do utworów młodzieńczych Krasińskiego, powieściowych, pisanych w duchu i na wzór Walter-Scotta należą: 1) „Grób rodziny Reichstadów,“ 2) „Władysław Herman i Dwór jego,“ 3) „Starosta Wilczek,“ 4) „Teodoro król Borów.“ Wszystkie były drukowane po czasopismach, a „Władysław Herman“ wyszedł nawet osobno.

Tych powieści i owych powołanych wyżej rozpraw, a także i Życiorysu jenerała Wincentego Krasińskiego nie masz w wydaniu pp. Gubrynowicza i Schmidta. Wydawcy, jak widzieliśmy, tłumaczą się, dla czego nie pomieścili „próbek powieściowych“ z lat młodzieńczych poety, a hr. Tarnowski dodaje, że na ich wydaniu mniej zależy; w takim jednak razie nie wypadało ogłaszać w prospektach, że będzie to „pierwsza z u p e ł n a edycja pism wierszem i prozą.“ Zresztą g d y b y i m n i e j z a l e ż a ł o na tych młodzieńczych utworach, godzi się jeszcze zapytać, dla czego nie zamieszczono znakomitej rozprawy o Juljuszu Słowackim, bjografji ojca poety i listów do hr. Montalemberta i poety Lamartina? Może hr. Tarnowski pomimo wywodów dra Maleckiego*) nie przyznaje autentyczności powołanej rozprawie, ogłoszonej jak wiele innych utworów Krasińskiego bezimiennie? Gdyby tak było, czemuż nie pozwolił zamieścić owych dwóch listów i owej bjografji, o których autentyczności sam przecież nie powątpiewa? Byłyżby także mniejszej wagi? A może rozprawę listowną do dwóch najznakomitszych mężów owego czasu pominięto dla tego, że to rzeczy pisane po francusku, a więc nie każdemu czytelnikowi dostępne?... Szereg tych domysłów zamkniemy jeszcze jednem pytaniem. Czemu hr. Tarnowski, który powiada, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności dozwolonem mu było zajrzeć do najlepszych źródeł, nie wymienił poszczególnie tych utworów, choćby nawet bardzo drobnych, które przypisują Krasińskiemu, a które stanowczo nie są jego? Samo wyliczenie prac niewątpliwych, takie, jakie podał w swojej przedmowie, żadną miarą nie wystarcza, bo jest niezupełne i w szeregu tym np. nie są objęte wszystkie wiersze drobniejsze, zamieszczone w wydaniu, o którem mówimy.

A listy?... Wiadomo, że Konstanty Gaszyński, najpierwszy, bo od lat szkolnych i najwierniejszy, bo aż do śmierci przyjaciel Zygmunta, zaraz po zgonie wieszcza zajął się wydaniem nietylko „Niedokończonego Poematu“ ale i pozostałych listów. Miały być wszystkie pomieszczone w czterech tomach. Tymczasem wyszedł w r. 1860 z druku tylko tom pierwszy, zawierający sto cztery listów, ale jak pociętych i pookrawywanych! Wydawca niefortunną swoję robotę tem tłumaczy: że pragnął tym „Wyjątkom z listów“ otworzyć kordony „wszystkich ziem dawnej Polski...“ Lecz chociaż czego innego oczekiwano od tej publikacji, to przecież i w tych okruchach, które się ukazały, nieraz niezdarnie wybranych i zestawionych, poznano i umiano ocenić głębokie myśli autora Psalmów. Podniosła postać Bezimiennego Poety, majestatyczna a tyle tajemnicza czy w Irydjonie, czy w Nieboskiej, czy w Nocy letniej, poczęła się uzupełniać w tych na poły prywatnych zwierzeniach, i zdawało się, kiedy będziemy mieli w ręku całą tę drogocenną korespondencję, prowadzoną z przeróżnemi osobami, że wówczas nietylko wiele najprawdziwszego światła spadnie na utwory tak znakomite, ale i osoba genjalnego twórcy ukaże się we właściwszym stosunku do tych utworów, a zatem i całość, to jest poeta i jego dzieła jasno staną przed narodem. (Dok. nast.)

*) Zob. „Juljusz Słowacki, jego życie i dzieła“ tom. II. str. 121 i 122.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Sprawozdanie dyrekcji wyższej szkoły żeńskiej w Tarnowie za rok 1875 — Tarnów 1875.

Wspominamy o wydawnictwie powyższego sprawozdania dla gruntownie napisanej rozprawy zaszczytnie znanego pedagoga p. B. Trzaskowskiego: „O społecznem stanowisku i wychowaniu kobiety.“ Autor przedstawia nam w treściwym zarysie trojakie zadanie kobiety w jej życiu rodzinnem: zadanie matki, żony i obywatelki, udowadnia bądź cytatami znakomitego niemieckiego uczonego Holzendorfa, bądź faktami historycznemi nowoczesnej Anglji i Ameryki, iż wyższe wykształcenie, jakiego używają mężczyźni, niezbędnym jest warunkiem i dla kobiety, aby obowiązkom na się przyjętym w obec społeczeństwa zaszczytnie odpowiedzieć mogła — zbija oraz mylne twierdzenie, jakoby kobiety były obdarzone szczuplejszym zasobem intellektualnych władz, niezdolne do równouprawnienia z mężczyznami pod względem nauki i zatrudnienia umysłowego, i twierdzi, iż na gruncie rodziny z jednej, a osobistej wolności kobiety z drugiej strony, oprzeć należy wszelkie badania nad jej społecznem stanowiskiem.

Niemiecka.

— Die Männer der neuen Zeit. Biographien deutscher Fürsten, Staatsmännern und Helden. Von Brachvogel. Hannover 4. Bde 1875.

Autor wydaniem tego dzieła wyświadczył Niemcom doniosłą usługę, wzbogacił bowiem dział ich najnowszej historji plastycznem przedstawieniem postaci głównych aktorów ostatniej wojny prusko-francuskiej. Dzieło to zawiera w 20 pierwszych zeszytach życiorysy nader trafnie i wiernie skreślone mężów, którzy w ostatniej smutnej katastrofie Francji tak ważne odegrali rolę, jako to: cesarza Wilhelma, ks. Karola, Moltkego, Roona, króla Ludwika II. Bismarka, króla Saksonji, Steinmetza, Goebena i wielu innych osobistości. — Brachvogel zostawał ze wszystkiemi wyżwymienionemi osobistościami w stosunku przyjaźni lub etykietalnej dworskiej znajomości, był więc w posiadaniu wielkiej liczby aktów, dokumentów i historyczno-bjograficznych materjałów. W skutek tego i skreślenie charakterów tych mężów na źródłach autentycznych oparte, wiernym jest ich obrazem. Przytem czerpał autor, jak sam w dziele niniejszem wskazuje, bliższe szczegóły i wiadomości dotyczące do wyświecenia wypadków owianych tajemniczą zasłoną z bibljoteki generalnego sztabu i ministerstwa wojny; do życiorysów tych przydane są portrety szkicowane ręką słynnego malarza Scherenberga. — Dzieło to nader doniosłej wartości dla historyka i polityka przy skreśleniu ostatniej epoki czasów dziejowych Niemiec.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Urwaliśmy sprawozdanie nasze z przyjęcia zjazdu przyrodników i lekarzy na wyjeździe gości z Ożydowa do Podhorzec. Prześliczna to była i wielce ożywiona podróż. Wężem pod górę ciągnął się olbrzymi tabor wozów, brzmiących wesołą pogadanką i śmiechami. Niespostrzeżenie prawie zbliżyło się grono ku Olasku i ujrzało przed sobą nagle ponury, ciemny, jak orle gniazdo zawieszony na wyżynie saniek, kolebkę Sobieskich. Długo nie ginął on oczu zapatrzonych i rozpamiętywających świetną przeszłość podróżnych. Tymczasem przemknęły domki miasteczka,

droga poczęła się rozszerzać, zamajaczyła w oddali wieża zamku Podhoreckiego i wnet stanęliśmy na miejscu. Zwidzanie zamku Podhoreckiego pochłonęło na długi czas uwagę całego towarzystwa. Tu nagromadzenie piękności i pamiątek jest tak wielkie, że oglądane naraz, chaotyczne i przygnębiające prawie sprawia wrażenie. Powoli wysuwali się ciekawi na otwarte powietrze, do parku—po za mury zamku, gdzie wojskowa muzyka najweselszemi dźwięki budziła poważne echa siedliska Rzewuskich i Sanguszków. O godzinie 2ej wezwano do uczty. Był to istotnie wspaniale i genjalnie pomyślany bankiet. W parku, pomiędzy ścianami z zieleni, na wielkich stołach, pokrytych miasto obrusa, szerokiemi, dyszącemi świeżością liśćmi, przy odgłosie muzyki, pod otwartem, jasnem niebem. To też głęboka harmonja napełniła wnet serca wszystkich. Rozpoczęcie toastów otworzyło tamy uczuciu i zapałowi. Nie powtarzamy treści tych przemówień, wszędzie bowiem znaleść je można. Powiemy tylko, że ogólny koloryt tych wylewów i uniesień, był tak czysty, podniosły, serdeczny, gorący a poważny razem — jak rzadko w tak licznych bywa zgromadzeniach. Wycieczka po uczcie na stare okopy grodu, który tu kiedyś stać miał, wedle Nestora, dopełniła natłokiem pamiątek i pięknością miejsc tych — upojenia zebranych. W skupieniu wysłuchano przemówień pp. dr. Czerkawskiego prof. Baranowskiego i Wachnianina, którzy po nad doliną Pleśniską — to z objaśnieniem jej pamiątek, to ze słowami zapału i zachęty słyszeć się dali. Wracano jak w odurzeniu na dworzec w Krasnem, zkąd o $8\frac{1}{2}$ wyruszyło całe grono do Lwowa. Podhorecka wycieczka pozostanie na zawsze w pamięci wszystkich, jak harmonijny akord, którego najmniejszy dysonans nie zmącił.

O 10tej Lwów miał znowu swoich gości. Dzień następny poświęcony był posiedzeniom naukowym, na które zaiste ledwo starczyło czasu. Uroczyście zjazd cały zakończyło zebranie publiczne w sali ratuszowej, rozpoczęte zdaniem sprawy z czynności w sekcjach, a świetnie zamknięte mowami: przewodniczącego wydziału gospodarczego, dr. Noskiewicza i prezydującego zjazdu, dr. Majera. Pożegnalny bankiet był jednym wielkim dytyrambem wzniosłych myśli, wylewów pożegnalnych, patrjotycznych uniesień. Mowy szły za mowami, co chwila nowe uczucie znajdowało dla siebie nowy przedmiot. Najgłębiej wzruszyło publiczność pełne rzewności a zarazem męskiej siły przemówienie hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Oklaski nie miały końca. Zaiste przez cały ciąg zjazdu hr. Dzieduszycki miał żywe dowody, ile zacna jego działalność czci i miłości mu pozyskała! Wieczorem rozjechała się najznaczniejsza część gości z gorącem postanowieniem zebrania się w pełnym komplecie na przyszły, III. Zjazd, którego przyjęcie dla ciężkich warunków swego obecnego bytu, Poznań ustąpić musiał Krakowowi. Za odjeżdzającymi gośćmi i my wysyłamy nasze serdeczne: Niech Bóg prowadzi!

Literatura i sztuka.

Cyprjan Godebski, rzeźbiarz polski, który, jak wiadomo, wykonał piękny nagrobek Teofilowi Gautier w Paryżu, za którą to znakomitą pracę nie chciał wynagrodzenia — nabywa coraz więcej wziętości i sławy w stolicy Francji, a według doniesień dziennikarskich ma wykonać także pomnik dla drugiego słynnego pisarza francuskiego, zmarłego niedawno Juliusza Janina. Dziennik l'Evenement w pochwalnym bardzo artykule nazywa p. Godebskiego wielkim artystą rossyjskim, członkiem Akademji petersburgskiej. Tymczasem pan Cypryan Godebski jest Polakiem, choć się urodził we Francji, w Mery sur Cher. Jest on synem Ksawerego Godebskiego — który przez lat kilkanaście był we Lwowie kustoszem zakładu Ossolińskich, a wnukiem pułkownika Cypryana, co poległ śmiercią bohaterską w bitwie pod Raszynem. Artysta ten dobrze znany jest we Lwowie, gdzie dłuższy czas bawił, kierując robotami rzeźbiarskiemi przy budowie domu inwalidów.

— Pani W. S. warszawianka, napisała muzykę do dwóch wierszy pióra Siemieńskiego. Obecnie wydał Sennewald dalsze jej pełne wdzięku kompozycje; są to pieśni nacechowane niekłamanem uczuciem; tekst Wasilewskiego, Chęcińskiego, Zalewskiego.

— W zakładzie fotograficznym p. Krajewskiego w Kielcach oglądać można fotografje, są to portrety osób odznaczających się wielkiem podobieństwem i wykończonym retuszem, a kopje z obrazów „Przysięga Jadwigi“ i „Habdank“ z wyjątkiem kolorytu uwydatniają wszelkie zalety oryginału. — Są to fotografje rywalizujące z najznakomitszemi zakładami tego rodzaju w Europie.

— Węgierska Akademja umiejętności wyznaczyła nagrodę konkursową 200 dukatów za napisanie najlepszego dzieła: „O stosunkach międzynarodowych Węgrów do Polaków pod względem historycznym i filozoficznym.“

— „Djabeł“. czasopismo humorystyczne, wychodzące w Krakowie, nie upadł, lecz przeszedł obecnie w inne ręce. Nowy właściciel zachowując temu pismu dawny tytuł, zmieni jednak dotychczasowe jego tendencje i zapatrywania.

Muzeum przemysłowe lwowskie, pisze „Ojczyzna,“ owoc zabiegów i energicznych, a z ofiarami połączonych starań zacnych osobistości, może się rozwinąć — mając wcale dobre podstawy — i stać się czasem tem, czem być właściwie powinno: ogniskiem domowem, około którego przemysł miejscowy się gromadzi. Odkładamy do sposobniejszej chwili zapoznanie czytelnika z zasobami i okazami tego młodziutkiego zakładu, a na razie przyjemnie nam zanotować że spotkaliśmy się tam z rysunkami uczniów tutejszej Akademji technicznej, które świadczą wyraźnie, że mimo przejawiających się w zakładzie braków, skrupulatnego przejęcia się obowiązkami młodych adeptów technicznego powołania, znajduje się w Akademji zastęp pilnej i w pracy zamiłowanej młodzieży, na który z nadzieją spoglądać może obywatel kraju. Pomiędzy rysunkami, szczególną zwracają uwagę rysunki architektoniczne cerkwi w Dragomirowie, zdjęte przez uczniów z natury, gdy pod kierunkiem prof. budownictwa p. Zacharjewicza, ową miejscowość zwidzali. Na uznanie zasługują prace akademików: Michała Sozańskiego, Hermotnika, Dolińskiego, Naganowskiego i Mańkowskiego. W kompozycji odznacza się tenże Jan Doliński. Graficzne rysunki Bażamira Stukawskiego prawdziwie w zadziwienie wprowadzają i godne są zajdować się na specjalnej wystawie sztuki. Między rysunkami konstrukcyjnemi, pierwsze zajmują miejsce roboty Kufczyńskiego i Beckera. Nie możemy pominąć nazwisk chlubnie wbijających się w pamięć pięknemi robotami, jak: Franciszka Krzeczunowicza, ucznia widocznie nader uzdolnionego, Cezara Górskiego, Krzyżanowskiego, Machera, Świątkowskiego. Akademik Bauer dostarczył pięknych kompozycyj willi, altan, dworców i t. d., zaś Michał Sozański złożył wcale poprawny okaz odlewu gipsowego, a Marcelego Pileckiego rysunki ornamentyczne wykonane są z taką precyzją z taką ścisłością proporcji w rozmiarach i cieniowaniu, że zdaje się — jakobyśmy patrzyli na robotę artysty pełnego talentu i rutyny, a nie na pracę ucznia — który przed rokiem dopiero ukończył szkołę realną tutejszą. Obok wymienionych, jest jeszcze kilka akwarel i litografji, starannie wykonanych. Wszystkie te okazy świadczą, że mamy materjał dla stworzenia u nas ogniska, nauk i zajęć technicznych — materjał, któremu warto wszelką staranność i trud poświęcić. — Gdy już mowa o wystawie prac akademików, pozwolimy sobie nadmienić, że byłoby rzeczą wielce pożądaną, aby wystawy takie i w szkole realnej urządzano, jak się to w Krakowie praktykuje. Wystawy te przynoszą korzyść uczniom nie małą, dając im sposobność do chwalebnej emulacji, a publiczność zapoznając z działalnością zakładu — wiążą ją ściślejszfmi węzłami z zakładem, co jest rękojmią postępu dla tego ostatniego.

— Włoski jenerał Cialdini pracuje nad dziełem traktującem o ostatniej francusko-pruskiej wojnie; w tym celu zwidza obecnie pola i miejscowości na których się ten pamiętny dramat odegrał.

Podróże i komunikacja.

— Nader cennym nabytkiem dla historyków i geografów będzie nowo publikowane dzieło w Petersburgu, którego pierwszy tom już z druku wyszedł p. t. „Mongolja i kraj Tangutów.“ Autorem jest kapitan z genaralnego sztabu rossyjskiego N. Przewalskij. Na żądanie cesarskiego towarzystwa geograficznego przedsięwziął autor w listopadzie r. 1870 jeszcze podróż do tych mało znanych azjatyckich krain i po 3 letnim pobycie wrócił ze świetnemi rezultatami odkryć i nauki. W uciążliwej nader podróży podczas której odbył 11.000 wiorst drogi, towarzyszyli mu tylko podporucznik A. Pylcow i dwaj bajkalscy kozacy. — Za świetne wywiązanie się z poleconego mu zadania dekorowany został od rządu złotym krzyżem Konstantyna. — Prof. uniwersytetu Petersburgskiego Dr. Schmidt wyraża się w ostatnim zeszycie „Russische Revue“ nader chlubnie o tem dziele, oświadczając, iż tłumacz tego dzieła na inne europejskie języki wielką wyświadczyłby korzyść nauce historji tych nieznanych dokładnie krajów azjatyckich.

— Zanzibar, o którego Sułtanie odbywającym podróż po Europie częste bywają wzmianki, przed Livingstonem zaledwo znany był kupcom i geografom. Dziś dzięki opisom kapitana Elton (w r. 1873) i dra Kirk (w r. 1874) o tej części Afryki wiemy, że Zanzibar jest wyspą, na której leży miasto tegoż samego nazwiska na przestrzeni 1.600 kilometrów kwadratowych. Wyspa ma 100.000 mieszkańców, miasto zaś 25.000. Lecz wyspa Zanzibar nie jest całym sułtanatem, rządzonym przez monarchę, który obecnie jest gościem Europy. Jego zwierzchnictwo rozciąga się na terytorjum kontynentalne Afryki, w granicach źle zakreślonych na południe i na północy, a całkiem nieoznaczonych we wnętrzu kraju równolegle z morzem. Długo podzielone między rozmaitych naczelników krajowców, państwo Zanzibarskie złączone zostało z imanaetem Maskaty nad wybrzeżem perskiem w Arabji, przez Sułtana Si-Said, który uznany przez Europę, negocjował w r. 1844 z Francją w przedmiocie zawiązania stosunków handlowych między obu krajami. Po jego śmierci w r. 1857 spadek po nim podzielony został między dwóch jego synów, i Zanzibar odzyskał pod jednym z nich byt niepodległy. Jednak w niejednej spotkać jeszcze można geografji, że Zanguebar, stolica Zanzibaru, jest częścią państw Sułtana lub imana Maskaty. Jest to mylnem. Sułtan Zanzibaru jest nieograniczonym panem u siebie. Dochody państwa wynoszą 2,400.000 fr. Sułtan utrzymuje armję, liczącą 1.400 żołnierzy. Zanzibar prowadzi handel z Indjami, Arabią, Persją, Stanami Zjednoczonemi, Niemcami, Anglją i Francją. Artykułami kraju są: słoniowa kość, mech farbierczy, guma, gwoździki, olej kokosowy i skóry. Traktat 1844 r. daje Francji prawo wylądowywania w Zanzibarze, przebywania tam, krążenia, kupowania, sprzedawania, dzierżawienia ziemi, domów, magazynów z masą innych przywilejów. Cło wchodowe wynosi 5% płacone w naturze. Handel niewolnikami nie jest na nieszczęście zniesiony w tej części Afryki, lecz otworzyło się na wybrzeżu na północ od Zanguebaru małe państwo niepodległe, założone przez zbiegów z wysp Sion i Patta, dość podobne do Zanzibaru. Szef nowego państwa Fumo-Letti, przezwany Zamba, ogłosił tam wolność murzynów i tysiące czarnych przybyło tam szukać schronienia pod opieką ustaw, które ich uczą nie tylko wolności, lecz zamiłowania pracy. Jest to rodzaj Rzeczypospolitej Liberji dla Afryki wschodniej.

Badania przyrody.

— Obrót ziemi około osi okazuje się z rozmaitych skutków, Oprócz znanych już dawniej któremi są: pozorny wschód i zachód ciał niebieskich, spłaszczenie ziemi na biegunach, zbaczanie ku wschodowi ciał spadających z wielkiej wysokości, zbaczanie płaszczyzny oscylacyjnej wahadła, podmulanie prawego brzegu rzek płynących w kierunku południka na półkuli północnej, a lewego brzegu rzek płynących w tym samym kierunku na półkuli południowej, zmiana kierunku wiatrów i prądów morskich i niektóre inne zjawiska, spostrzeżono w najnowszych czasach także w świecie roślinnym jedno zjawisko będące wynikiem obrotu ziemi. Francuski przyrodnik Musset zrobił spostrzeżenie na wielu tysiącach drzew wyrosłych w różnych okolicach, że przekroje poziome pni nie są płaszczyznami okręgu, lecz elipsy, i że wielka oś elipsy, którą tworzą słoje drzew, zwróconą jest widocznie w kierunku od zachodu ku wschodowi. To spłaszczenie pni drzew od strony północnej i południowej, a przedłużenie ich w kierunku od zachodu ku wschodowi, spostrzegać się daje szczególnie na drzewach mających korę gładką. Drzewa z korą chropowatą okazują tylko wtenczas wyraźnie formę eliptyczną, jeżeli są stare i niezdeformowane przez wpływy przypadkowe. Równoległość między położeniem wielkiej osi elipsy u pni drzew, a kierunkiem, jaki siła odśrodkowa (centryfugalna) wynikająca z obrotu ziemi, nadaje ciałom wolnospadającym z wielkiej wysokości, uważa Musset jako skutek obrotu naszego planety. L. W.

ROZMAITOŚCI.

— Straszliwa powódź, która w dniach 23 i 24 Czerwca nawiedziła południową Francję, i niesłychane wyrządziła spustoszenia, nie ma sobie podobnej w rocznikach klęsk Europy. Wielki wylew z 1855 r. w tych samych okolicach nie da się nawet porównać z obecnym, który zajął przestrzeń 50000 kilometrów kwadratowych od zatoki Liońskiej do Oceanu atlantyckiego i od La Reole przy Bordeaux aż do Pirenejów. Cały basen Garonny, — jednej z najbogatszych rzek francuskich pod względem dopływów — stanowiący prawie dziesiątą część Francji, znajdował się pod wodą. Dotkniętemi zostały departamenty: Haute-Garonne, Lot-et-Garonne, Tarn-et-Garonne, Ariège, Gers, Wyższych i Niższych Pirenejów. Ogólną szkodę wyrządzoną przez rozhukany żywioł oceniono na 300 miljonów fr. a stratę w ludziach na 3000 dusz; z czego przypada na samą Tuluzę 100 miljon. szkody i 1000 ofiar; na to bowiem miasto napór powodzi szczególniej się wytężył, tak że o przedmieściu jego, St. Cyprien, z całą słusznością powiedzieć można, co o Troji: „Hic locus ubi Troja fuit“ Ciekawa rzeczą jest iść wślad za genezą tej okropnej klęski. W początkach czerwca na wszystkich prawie szczytach Pirenejów leżały nagromadzone olbrzymie masy śniegów. Bardzo ciepły wiatr, w połączeniu z obfitym deszczem roztopił nagle te masy, co spowodowało nagłe przybranie wód we wszystkich rzekach. 23 Czerwca Garonna przy Tuluzie z szaloną szybkością poczęła rosnąć. O 10 przed południem doszła miary powodzi z r. 1855 w godzinę później znacznie przeszła po za nią. W tej chwili dopiero pojęto wielkość niebezpieczeństwa i rzucono się z rozpaczliwą energją do stawienia tamy rozkiełzanemu żywiołowi. Ale już było zapóźno. Z minuty na minutę prąd się wznosi, wszystko rwąc z sobą. Olbrzymie fale rozhukanej wody, rozdzielone przy kolumnach mostowych, zalały ulice, wdarły się w pomieszkania i fabryki. Wkrótce cała niższa część miasta podobna się stała jezioru. O drugiej po południu dał się słyszeć głuchy łoskot i około 20 domów rozwaliło się i dwie kolumny mostowe upadły. Ciekawi, znajdujący się w pobliżu, rozproszyli się po wyżej położonych punktach; koło nich popędziły z wodą: szkoła pływania, łazienki itd. rozbijając po drodze przybrzeżne domy. O piątej po południu wdarła się woda z Garonny przez tamę w przedmieście St. Cyprien, liczące 3000 mieszkańców gdzie w godzinę później stanęła na 3 mtr. wysoko. Z nieodpartą gwałtownością uderzające fale jęły przewracać domy, z których wiele przygniotło pod swemi zwaliskami nieszczęsnych mieszkańców. Rzucono się do środków ratunku, ale łodzie, które się poważyły zaawanturować na przedmieście, rozbite lub połknięte zostały przez fale. Dwie z nich, wpędzone w ulicę Grande Rue, przepadły w wirze, który się uformował przy ogrodach Szpitala położonych nad rzeką. Z 30 osób znajdujących się na nich—ratujących i uratowanych — ocalała tylko jedna kobieta. Na to widowisko,— przewyższające zaiste zgrozą wszystko co najdziksza obraźnia wystawić by sobie mogła — zapadła wreszcie noc, mrokami swemi powiększając jeszcze okropność położenia. Bez przerwy słychać było trzask walących się domów i wołania o pomoc godnych pożałowania ofiar, a wszystkie te odgłosy wiatr niósł aż do najdalszego końca Tuluzy. Nazajutrz opadła woda, największą część swojej wściekłości na przedmieściu St. Cyprien wysiliwszy. Na sumę, 500 domów w Tuluzie zabrała woda i 30 mostów; 20 fabryk ze szczętem zniszczyła. Przeszło 10000 ludzi znalazło się bez chleba, odzieży, dachu i roboty. Utonęło, jak już powiedzieliśmy do 1000 osób — pomiędzy któremi szlachetny Markiz d'Hautpoul, wraz z siedmioma ludźmi, których chcąc ratować — śmierć znalazł. Nie lepszy obraz przedstawiały okolice miasta. Podobne one były do wielkiego morza, z którego wynurzały się dachy, wieże kościołów, drzewa; — a pędziły na falach sprzęty domowe, bydło, oraz zwłoki ofiar zeszpecone i pokaleczone. Toż samo powtórzyć niestety potrzeba i o innych okolicach zalanych przez wodę. Wsie pobrzeżne nad Garonną, od Muret do Agen, leżą wszystkie prawie w gruzach. Obliczają domów zburzonych na 3000. Woda przybierała tak prędko, że wieśniacy nie mieli czasu bydła wyprowadzić z obór; po miasteczkach kramarze, kupcy i kupujący, zaskoczeni w sklepach padli ofiarą. Na rozpoczętą budowę kolei pomiędzy Foix i Arascon zsunęło się pół góry; w pobliżu Fontgrave tuzin bogatych folwarków chłopskich zniknął bez śladu. Wyższe części Girondy uległy nie mniejszemu spustoszeniu. Łąki i pola zryte do dna, całe zbiory poszły na marne. W Tarbes, głównem mieście departamentu wyższych Pirenejów, zwalił się most wielki, pociągając za sobą tłumy zgromadzonych na nim mieszkańców. Straszliwie nawiedzoną została część kraju zwana Pinsaguel (Haute-Garonne) kędy Garonna i Ariège się łączą. Wszędzie pustka, na której nie ma śladu życia — tak chyba ziemia po potopie wyglądała! W Castel Sarrazin (departament Tarn-et-Garonne) w wyższej części miasta ani jeden budynek się nie ostał; — do 400 domów w ruinie! Ocalenie pewnej liczby mieszkańców zawdzięczać można tylko bohaterstwu pojedyńczych ludzi. I tak niejacy bracia Sussac uratowali przeszło stu. Słowem — ażeby dać dokładny obraz tej klęski — w miastach handel i przemysł, na prowincji gospodarstwo są w stanie przerażającego upadku. Zbiory po większej części stracone — wino tylko się utrzymało. Co prawda, największa część winy za to nieszczęście cięży na merach, którzy, pomimo telegraficznego ostrzeżenia o niebezpieczeństwie, żadnych środków ostrożności nie zarządzili. Za to ze czcią zapisać tu potrzeba zasługi armji francuskiej. W Tuluzie i innych miastach lwią cząstkę przy ratunku wojsko na siebie wzięło. Obecnie nie tylko we Francji ale po całym świecie zbierają zapomogę dla nawiedzonych tą powodzią, — w Niemczech zaś, szczególniej w Dreźnie i Lipsku. Życzymy z całego serca aby plon tych składek był jak najobfitszy i sercu ziomków naszych również to wielkie nieszczęście polecamy.

— Kodeks cywilny i karny Czarnogórski, wydrukowany co tylko, bardzo w sobie zwięzły; obejmuje bowiem 1 arkusz, czyli 16 stronic w ósemce. Ustawa publikację i rozpowszechnienie nakazująca powiada, że drukowany w tylu egzemplarzach, aby każdy Czarnogórzec mógł go mieć i czytać, lub dać go sobie przeczytać, jeżeli sam tego nie umie. Charakterystyczne są niektóre postanowienia, np. względem obrony kraju: „Jeżeliby się gdzie zdarzył tchórz, należy mu odebrać wszelką broń, której już przez całe życie swoje nosić mu nie wolno, nikt go też szanować nie ma. Zarazem należy mu przypasać fartuch babski, ażeby wszystek lud widział, że to człowiek bez męskiego serca.“ Obrona własna w obszernej mierze dozwolona: „Kto Czarnogórcę nogą kopnie lub cybuchem uderzy, płaci kary 50 dukatów, a jeżeli uderzony w chwili gniewu takiego zabije, wolen jest od wszelkiej odpowiedzialności, tak samo jak ten, kto złodzieja na gorącym uczynku zabije.“ Pojedynek dozwolony, jednakże bez świadków, wykradzenie dziewcząt również bezkarne: „Jeżeli dziewczę z dobrej woli bez wiedzy rodziców ujdzie za młodzieńcem, natenczas nic im zrobić nie wolno, albowiem połączyła ich miłość“. Cudzołóstwo drakonicznemi obłożone karami: „Zdarzyło się Czarnogórcowi, że mu żona niewierną się stanie, on zaś na przeniewierzeniu ją napotka, może jedną lub obie strony zabić; jeżeli zaś kobieta taka uciecze, nigdy już w kraju naszym pokazać się nie ma.“

— Przed kilku tygodniami pierwsza kobieta otrzymała w Paryżu dyplom doktorski. Pani Brès z domu Gebelin, rodem z Bouillargue, ukończyła nauki w uniwersytecie paryskim, jest Francuską i złożyła egzamina w Paryżu. Nowy doktor, pani Brès, już w początku swego zawodu zwracała na siebie uwagę, gdyż jak donosi „Gazette hebdomadaire“, sam władca wiernych w Konstantynopolu, chce ją mianować lekarką swego haremu z pensją 40,000 fr. rocznie, pod warunkiem, aby mieszkała między kobietami haremu. Żeński doktor zbyt jednak ceni swobodę, aby ją zamienić na niewolę za 40,000 fr. P. Brès odmówiła,—lecz nadaremnie. Sułtan umiał ją pozyskać. Będzie ona lekarzem cesarskiego dworu, lecz z mieszkaniem zewnątrz haremu i z zastrzeżeniem zajmowania się praktyką po za obrębem cesarskiego pałacu.

— Okręt „Glance“, będący własnością pewnej firmy londyńskiej, który d. 15 b. m. przybył z Adelaidy do przystani Tamizy, przyniósł wiadomość, iż dnia 27go czerwca spotkał na morzu statek „Jessin Osborne“, którego kapitan wzywał jego pomocy, gdyż nie umiał sobie poradzić z jednym z majtków swej załogi, który w przystępie obłąkania od pięciu dni siedział w linowej sieci na masztach i śmiercią zagrażał każdemu, ktoby się ważył zbliżyć do niego. Szaleniec poprzecinał wszystkie liny i prośbami ani namowami nie dał się nakłonić do spuszczenia się na pokład. Jeden ze starszych majtków podjął się sprowadzić go na dół i w tym celu wydrapał się na szczyt masztu, lecz został przyjęty przez obłąkanego, iż spadł i połamał sobie ręce i nogi. Doprowadzony do ostateczności kapitan, widząc niebezpieczeństwo zagrażające okrętowi z powodu przecinania lin, uznał za konieczne w interesie całej osady jakimkolwiekbądź sposobem usunąć warjata z góry. Na radzie oficerów zapadła uchwała zastrzelić nieszczęśliwego. W obecności całej załogi przystąpiono po chwili do wykonania tego smutnego wyroku. Kapitan zaprosił na świadków także oficerów i kilku majtków okrętu „Glance“. Ugodzony kulą z rewolweru, spadł nieszczęśliwy majtek na pokład i wkrótce potem znalazł grób w przepaściach wodnych.

— Zkąd się wzięły cylindry? Pytanie to rozwiązuje ku pożytkowi wszystkich elegantów i kapeluszników, którzy do umiejętnej znajomości w tym zawodzie dążą, jeden z angielskich dzienników, utrzymując, że cylindry noszono przed kilku wiekami w Tybecie. Kraj ten w środkowej Azji jest przeto właściwą kolebką cylindrów. W Tybecie nadto znano cylindry różnego koloru. Zwykli mieszczanie nosili białe, urzędnicy czarne, tybetańscy mnisi żółte, a najwyższy dostojnik kościelny t. z. Lama, mógł się wystroić w purpurowy cylinder. Ostatniego przywileju noszenia kapeluszy purpurowych używają u nas jak wiadomo kardynałowie.

— Posiew fanatyzmu religijnego poczyna już wschodzić w Prusach Z. w przerażający sposób, zaczynając od dzieci. W Dąbrówce pod Gniewem szczepiono dzieciom szkolnym ospę 26 b. m. Gdy wracały do domu, szedł z niemi jakiś starszy człowiek, który począł między dziećmi szczepienie innego rodzaju, t. j. zawziętości i bójki o rzeczy religijne. Mianowicie podburzał dzieci ewangelickie wzywając, „dass sie sich von Pollacken nichts gefallen lassen“. Osiągnął też skutek, gdyż wszczęła się bitwa na dobre, w której jednego chłopca mocno pokaleczono. Zajście to miało tak znaczne rozmiary, i takie zrodziło w okolicy przerażenie, że odtąd mają wsie posyłać dzieci szkolne pod dozorem policyjnym. Zaczyna więc wschodzić ów zasiew smoczy, którego pojawienia się między dziećmi nikt nie przewidywał. Drugi wypadek lepiej to jeszcze wykazuje. W Süssenthal na Starych Prusach bawiły się małe dzieci 2 — 3 letnie przed domem, gdy w tem przyszedł do nich starszy 4letni chłopiec gospodarza W. Niemca, z propozycją, aby zbić i stłuc najmłodszego z pomiędzy nich 2letniego chłopca F. Polaka. Wywabiono więc chłopca za wieś do kamiennego mostku, i tam proponent tak zbił biedne dziecko kijem po głowie, że we krwi z ran się toczącej leżało na ziemi. Ażeby nie dozwolić krzyku i jęków, usiłował zapalony W. wcisnąć biednemu chłopcu kawał kija w gębę. Gdy mu się to nie udało, podniósł kamień tak wielki, jak go tylko mógł podźwignąć, i tym chciał dziecku roztrzaskać głowę. Inne dzieci przecież poczęły krzyczeć i to przeszkodziło zapaleńcowi, który zaproponował w końcu, żeby zbite i bezwładne dziecko schować pod most, aby się nikt nie dowiedział. W czasie tej ostatniej operacji nadszedł sołtys i uratował nieszczęśliwą ofiarę, która prawda żyje jeszcze, ale bodaj się wyleczy.

Odpowiedzi Redakcji.

G. we Lwowie. Osoba, na którą Pan się odwołujesz, od niepamiętnych czasów przestała pisać złe wiersze i oddała się dobrej prozie. **L. w Krakowie.** Tłumaczeń nie potrzebujemy.

Treść Nr. 31.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).